



DAY LECLAIRE



Wielkie Łgarstwo

PROLOG

Pierwszy dzień...

Gra się zaczyna

Grace Barnes stała przed drzwiami jego gabinetu. Luciano Salvatore, prezes - głosiła tabliczka na drzwiach.

Grace pomyślała, że musi to zrobić. Powinna się odważyć. Wystarczy, że teraz zapuka. Człowiek znajdujący się po drugiej stronie drzwi powie: proszę. I Grace naciśnie klamkę, otworzy drzwi, wejdzie do jego biura.

I to będzie właśnie początek wielkiego łgarstwa. Potem po prostu będzie musiała utrzymać tę pracę przez cały rok. Przez dwanaście miesięcy będzie asystentką tego człowieka. Następnie dostanie od pana Dominika pieniądze na założenie własnej firmy. Gra warta świeczki. A poza tym... cóż mogło być łatwiejszego?

Poprawiła wielkie, ciemne okulary, zakrywające prawie pół twarzy, nieustannie zsuwające się z nosa. Sprawdziła, czy ani jeden włos nie wymknął się z końskiego ogona ciasno ściągniętego czarną gumką recepturką. Obciągnęła brązową, niemodną spódnicę, żeby na pewno zakrywała kolana. Mimo wszystko aż dreszcz ją przeszedł, gdy popatrzyła raz jeszcze, jak brązowy kolor spódnicy gryzie się z szarozieloną barwą niezgrabnego, zbyt obszernego sweterka zapijanego z tyłu na kilkanaście drobnych guziczków.

Pomyślała, że teraz jest już chyba gotowa na wszystko. Wielkie łgarstwo może się już rozpocząć.

Zanim jednak zdążyła zapukać, drzwi otworzyły się. Wtedy właśnie zobaczyła tego mężczyznę po raz pierwszy. Od razu spostrzegła, jak pochopnie oceniała Dominika Salvatore, jak głupia była, przypuszczając, że nie zna dobrze swojego syna. A przecież ostrzegał ją. Opowiadał, że wszystkie kolejne

asystentki jego syna zakochiwały się w nim bez pamięci i zawsze kończyło się to strasznym zamieszaniem w biurze. Pomyślała wtedy z pobłażaniem, że pan Dominik przesadza. Ale on miał rację.

Luc Salvatore okazał się najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Postawny, muskularny, o arystokratycznych rysach twarzy - wysokie kości policzkowe, łagodna linia podbródka, ciemna oprawa oczu. Na czoło opadały gęste, falujące włosy w kolorze ciemnego brązu. Oczy miał... Zastanowiła się, nigdy nie widziała takiego koloru oczu, tęczówki były jakby... złote. Jednocześnie wzbudzał sympatię i zaufanie, a również przywodził jej na myśl piękną, dziką czarną panterę, którą kiedyś widziała w ogrodzie zoologicznym.

Patrzył na nią wnikliwie, złote oczy zdawały się hipnotyzować. Cofnęła się kilka kroków.

- Dobrze, dobrze - mruknął, opierając się o framugę. - Kogo my tu mamy?

Głos miał głęboki, podobnie jak jego ojciec. Z tą różnicą, że bez charakterystycznego dla pana Dominika włoskiego akcentu. Głos ten przywodził na myśl egzotyczne kraje i parne, gorące noce.

- Ja... nazywam się Grace Barnes - wykrztusiła z zaciśniętym gardłem.

Niewątpliwie zabrzmiało to niepewnie i nerwowo. Za wszelką cenę nie może do tego dopuścić, by się zorientował. Do licha, co się z nią dzieje?

Powoli wyprostował się i podszedł do niej. Z nie znanych powodów jej serce zaczęło walić jak oszalałe, a oddech stał się nierówny. Powtarzała sobie w myślach z uporem: Pamiętaj o Misiach z Dziecięcych Marzeń. Pomyśl o mamie, która czekała, aż będą mogły otworzyć własną firmę - mały własny sklepik. O mamie, która umarła za wcześnie.

Po chwili Grace stwierdziła, że wreszcie panuje nad emocjami.

- Grace Barnes - podała mu dłoń. - Pański ojciec zatrudnił mnie na stanowisku asystentki prezesa - powiedziała zimnym, urzędowym tonem.

- Bardzo miło mi panią poznać. Panna czy mężatka?

Przyjrzał się uważnie wielkiemu pierścieniowi z rubinem zdobiącemu jej palec serdeczny. Był to pierścień drogi, lecz wykonany mało finezyjnie. Przeszkadzał jej. Nie była przyzwyczajona do obciążania dłoni tego rodzaju ozdobą.

- Panna - odparła spokojnie. - Zareczona i jeszcze nie zaślubiona.

- To dla mnie poważna strata. - Luc podszedł do niej stanowczo zbyt blisko. Bała się, że usłyszy szybkie bicie jej serca. - I jak ma na imię ten szczęśliwiec? - zapytał.

Modliła się, by ciemne szkła okularów zakryły strach, który ją ogarnął. Luciano patrzył wyczekująco. Musiała odpowiedzieć na pytanie.

- Willy... William - odrzekła.

Pomyślała, że musi się przyzwyczać, by wymawiać jego imię w bardziej naturalny sposób.

Spojrzał na nią nie ukrywając rozbawienia.

- Zatem zabierze nam panią ten Willy-William. Na razie jednak zapraszam panią do biura. Musimy się bliżej poznać. Czy napije się pani kawy? A może herbaty? Mam też świeży, zimny sok pomarańczowy.

- Dziękuję, nie będę piła.

- Proszę usiąść - wskazał jej krzesło. - Sądzę, że ojciec mówił pani, że nie było mnie w kraju w czasie, gdy przyjmował nowych pracowników. Z tego właśnie powodu mogliśmy się spotkać dopiero teraz. Proszę mi powiedzieć, dlaczego spośród wielu, jak mi wiadomo, kandydatek ojciec wybrał właśnie panią?

Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Dominikowi Salvatore szczególnie zależało na tym, by nie wspomniała ani słowem, jak to było. Spotkała Doma na konkursie dla młodych przedsiębiorców organizowanym przez Salvatore Corporation. Konkurs dotyczył młodych ludzi, pragnących otworzyć własną firmę. Pierwsza nagroda łączyła się z otrzymaniem poważnej kwoty, która wystarczała na zorganizowanie własnego biznesu, na przykład sklepu z

pluszowymi zabawkami, który stanowił cel jej marzeń. Liczyła gorąco na zdobycie pierwszej nagrody. Niestety, zajęła trzecie miejsce. To nie wystarczało na zrealizowanie jej planów. Jednakże przy wręczaniu nagród rozmawiała osobiście z panem Dominikiem. Od razu zwrócił na nią uwagę. Dogadali się. Dom Salvatore dał jej możliwość zdobycia tych pieniędzy. Jego plan okazał się wysoce niekonwencjonalny.

Dla pana Dominika była to jedyna możliwość, by mógł spokojnie przejść na emeryturę nie denerwując się o losy Salvatore Enterprises.

- Jeśli dobrze rozumiałam - odparła sztywno - pański ojciec wspominał o problemie z utrzymaniem na czas dłuższy kogoś na stanowisku asystentki prezesa. I czuł, że ze mną nie będzie tego problemu.

Luciano wyglądał na zaskoczonego.

- Czyżby? A to dlaczego?

- Ponieważ ja mam poważne podejście do pracy - wyjaśniła.

I, dodała w myślach, dlatego że obiecałam panu Dominikowi, że utrzymam tę robotę przez cały rok, i w przeciwieństwie do poprzednich asystentek Luca, przez cały czas będę traktować swego szefa w sposób czysto służbowy. Jeśli to się uda, otrzyma od Dominika Salvatore pieniądze na otwarcie własnego sklepiku. I nie ma obawy, że ulegnie urokowi Luca. Żadnej obawy.

- Miejmy nadzieję - pokiwał głową Luc. - Proszę mi teraz opowiedzieć o sobie.

Przez moment zawahała się. Następnie zaczęła opowiadać to, co było napisane w życiorysie złożonym wraz z podaniem o przyjęcie do pracy. Niektóre informacje musiała uzupełnić. Zdawała sobie sprawę, że Luc przez cały czas obserwuje ją wnikliwie. Zarejestrował jej sposób wysławiania się, jej spokojne, dystygowane ruchy, włosy ściągnięte gumką recepturką. W tych ciemnych okularach wyglądała trochę jak człowiek bez twarzy, co pewnie Luc

także zauważył, jak również jej nienaganne maniery, sposób ułożenia rąk, sztywną, wyprostowaną postawę. Nic nie mogło umknąć jego uwagi.

Jego spojrzenie było tak wnikliwe, jakby przesywające na wylot. Aż była zdziwiona, że nie zorientował się w jej przebraniu, charakterystyce niemal teatralnej, ściśle związanej z wielkim łgarstwem. Nie spostrzegł, że naprawdę ma jasne, w odcieniu złotego bursztynu, włosy. Brzydka, matowa, brązowa farba łatwo dawała się zmyć. Grace bardzo musiała uważać, by spod brązu nie wystawały bursztynowe pasemka. Luc łatwo mógł się w tym zorientować, jak również w tym, że jej ubrania były o trzy numery za duże. W ten sposób zniekształcały jej zgrabną figurę i sprawiały, że wyglądała mniej więcej jak dżdżownica. Ciemne okulary, udające optyczne, w istocie miały przesłonić jej wielkie zielone oczy otoczone gęstymi, ciemnymi rzęsami. Pierścionek zaręczynowy uwierał ją i irytował. Tym bardziej, że pochodził od wymyślanego Williama. Jednak wielkie łgarstwo okazało się trudniejsze, niż myślała.

Była córką pastora i tego rodzaju dwulicowość nie leżała w jej naturze. A poza tym spostrzegawczy Luciano Salvatore mógł się szybko połapać, że nie zachowuje się naturalnie. Jednakże tak bardzo pragnęła zrealizować swoje marzenia. Bardziej niż cegokolwiek w świecie. I wielkie łgarstwo, które miało temu służyć, być może da się wytrzymać przez pewien czas.

- Zatem - kończyła streszczać swój życiorys - tak się przedstawia przebieg mojej pracy zawodowej.

Zamilkła. Nie było już nic do dodania.

On również nic nie mówił. Zastanawiał się nad czymś głęboko. Widać było, że coś mu tutaj nie pasowało. Grace siedziała sztywno, nie mogła stracić życiowej szansy zdobycia pieniędzy na Misie z Dziecięcych Marzeń.

- Witamy w Salvatore Enterprises - powiedział wreszcie prezes. - Jak zwykle ojciec dokonał trafego wyboru. Pani pozwoli, zaprowadzę panią do miejsca pracy.

Wstał i przeszli do sekretariatu przylegającego do gabinetu prezesa.

Przysunął jej krzeselko w szarmancki a zarazem naturalny sposób.

Pomyślała sobie, że ma dużą wprawę w takich czarujących gestach.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Proszę czuć się jak u siebie w domu. To jest pani biurko, tu znajdzie pani kawę i herbatę, szklanki stoją na dolnej półce. Tutaj może pani wieszać płaszcz. Nie, nie, dzisiaj niech zostanie w mojej szafie. Proszę zgłosić się do mnie za godzinę. Chociaż, szczerze mówiąc, oczekuję od pani tylko jednego.

- Tak? - spojrzała pytająco.

- Że zrobi pani wszystko cokolwiek powiem.

Okropny człowiek, pomyślała. Trudno wziąć go pod pantofel. W jednej chwili poważny, w następnej robi sobie żarty. Nieprzytomnie przystojny, bardzo inteligentny, z poczuciem humoru może trochę złośliwym, jednakże dodającym mu uroku. Całkowicie rozumiała, że kobiety lecą na niego jak ćmy do światła. Możliwe, że ten urok osobisty jest podświadomą częścią jego osobowości. Luc mógł sobie nie zdawać sprawy, że pozostawia aż tak wiele kobiet ze złamanym sercem. Bo chyba nie znęca się nad nimi naumyślnie. Czas pokaże.

Teraz jednak trzeba było kontynuować tę grę.

- Cokolwiek powiem, to nie jest zbyt precyzyjne określenie moich obowiązków służbowych, panie prezesie - powiedziała chłodnym, oficjalnym tonem.

W złotych oczach błysnęło rozbawienie.

- Oczywiście, proszę pani. I jeszcze jedno...

Obszedł jej biurko, zatrzymując się za krzeselkiem, na którym siedziała. Poczula, że jego ręce dotykają jej pleców, szyi... Serce waliło jak oszalałe. Jakby prąd elektryczny przepływał z tych rąk do jej ciała. Chciała się podnieść z krzesła.

- Spokojnie, nie ruszaj się, *cara mia* - mruknął.

- Jeszcze sekunda.

Skończył. Znowu okrążył biurko. Spojrzał na Grace, śmiejąc się szczerze.

- Co pan robił? - zapytała zdziwiona.

- Wyświadczyłem pani przysługę. Jeden guzik w pani sweterku był rozpięty. Zapiąłem go. Sądzę, że należy pani do tego rodzaju kobiet, którym jeden rozpięty guziczek bardzo przeszkadza. Cha, cha, cha - zaśmiał się i już nie mówiąc przeszedł do swojego gabinetu.

Aktualnie w pełni zdawała sobie sprawę, jak trudno będzie zachować wobec niego służbowy dystans. Westchnęła głęboko. Spojrzenie jej padło na otwarty kalendarz, leżący na biurku. Cały rok pracy tutaj, pomyślała. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni, dokładnie mówiąc. Jakby całe wieki.

Grace zaczęła energicznie przeglądać zawartość szuflady w biurku, aż znalazła gruby, czerwony flamaster. Uroczyście i z przekorną satysfakcją postawiła krzyżyk, zaznaczając w kalendarzu pierwszy dzień wielkiego łgarstwa. Wiedziała, jak trudny będzie dla niej najbliższy rok.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

337. dzień i wszystko idzie jak z płatka aż do dziś...

- Dzień dobry, panno Barnes - strażnik powitał ją z uśmiechem. - Jak zwykle punktualnie. Czy deszcz, czy słońce, zawsze przychodzi pani na czas.

Grace odłożyła ociekającą wodą parasolkę, starannie przetarła okulary.

- Szkoda, że nie śnieg - westchnęła. - Lubię prawdziwą zimę.

- Też wolę śnieg niż taką pluchę - strażnik skinął głową. - Jak spędziła pani weekend?

- Dziękuję, panie Edwardzie, nie mogę narzekać. A pan?

- Zapowiadali opady, więc wybraliśmy się z żoną i dziećmiakami w góry na poszukiwanie śniegu - uśmiechnął się z tryumfem. - Co roku jeździmy w góry. Drzewa w białej szacie, dzieciaki lepiły bałwana. Zapewniam panią, że warto było pojechać.

Grace pomyślała o swoim ogrodzie, pokrytym grubą warstwą śniegu, przypomniał jej się dom rodzinny, zawsze na święta pełen gości, matka piekąca ciasta...

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Pierwszy śnieg w tym roku - szepnęła. - To musiało być piękne.

- Przecież pani też mogłaby pojechać w góry - zauważył strażnik. - Niech pani weźmie swojego narzeczonego i pojedźcie zobaczyć śnieg.

- Tak, oczywiście - skinęła głową, ciągle jeszcze pogrążona we wspomnieniach. - Tak nam jakoś nie przyszło do głowy.

- To naprawdę wstyd.

Patrzył na nią z wyraźnym współczuciem. Zapomniała się, napływ wspomnień wytrącił ją z roli szczęśliwej narzeczonej.

- Powiem Willy'emu, że powinniśmy pojechać - zapewniła gorąco. - To naprawdę świetny pomysł.

Te słowa nie wypadły naturalnie, zdawała sobie z tego sprawę. Strażnik zauważył, że jest jej przykro. Jeszcze tego brakowało. Musi wziąć się w garść. Wytrzymała już prawie rok, zostało tak niewiele.

- Pani narzeczony musi być szczęśliwy - widoczne było, że strażnik stara się powiedzieć jej coś miłego.

- Szczęśliwy, że ma taką... elegancką narzeczoną.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Naprawdę świetny chłopak - skłamała. - Nigdy przedtem nie spotkałam takiego człowieka. Następny weekend spędzimy w górach, wynajmiemy pokój w schronisku, to naprawdę świetny pomysł.

- Co ja słyszę - przerwał jej nagle jakiś inny męski głos. - Moja panna Barnes wybiera się w góry.

Grace poczuła, że się czerwieni.

- Dzień dobry, panie prezesie - powiedziała.

- Tak, właśnie planowałam małą wycieczkę.

Postarała się, by wytrzymać przenikliwe spojrzenie złotych oczu.

Podszedł za blisko. Był przystojny. Za bardzo.

- Czemu zawdzięczamy ten rumieniec? - zapytał i wskazał palcem jej policzek, niemal go dotykając. Był tak blisko, że poczuła, iż jego szerokie ramiona przesłaniają jej cały świat. - Proszę nie robić niczego, czego mogłaby pani potem żałować.

Słyszała rozbawienie w jego głosie. Co teraz nastąpi? Zacznie z panem Edwardem wymieniać niewybredne uwagi dotyczące jej związku z Willym?

- Dziękuję za poradę, panie prezesie - powiedziała z godnością, mając nadzieję na zakończenie tej rozmowy, zanim będzie zmuszona wymyślać kolejne kłamstwa.

- Proszę uprzejmie - powiedział Luc Salvatore, kierując się razem z nią w stronę windy. - Skąd przyszło pani do głowy, żeby jechać w góry z tym, jak mu tam...

- William - odpowiedziała uprzejmie. - Zdrobniale: Willy.

- I ten tam Willy-William wyciąga panią do jakiegoś schroniska w górach, żeby tam robić z panią brzydkie rzeczy - śmiał się szef. - Faj! I właśnie to opowiadała pani panu Edwardowi?

- To moja osobista sprawa.

Uważnie przyglądała się drzwiom windy. Starła się nie patrzeć na niego. To jednak nie pomogło, ponieważ drzwi były starannie wyczyszczzone, niemal wypolerowane, i wszystko odbijało się w nich jak w lustrze.

- I proszę nie wymieniać znaczących spojrzeń z panem Edwardem - dodała chłodnym tonem. - Ja to wszystko widzę.

- Jest pani moją asystentką i zabraniam pani jakichkolwiek spraw osobistych na terenie biura.

Zatrzymała wzrok na krawacie szefa, a konkretnie na czerwonym, jedwabnym węźle krawata. Jak zawsze był on lekko przekrzywiony i za każdym razem z trudem opierała się pokusie, żeby mu go poprawić. Z każdym dniem pokusa stawała się coraz silniejsza. Grace zdecydowała, że któregoś dnia mogłaby to zrobić. Choćby trzysta sześćdziesiątego piątego dnia pracy.

- Wie pan. takie porozumiewawcze spojrzenia wymieniają mężczyźni obgadujący kobiety.

- Ach, więc zauważyła pani nasze porozumienie.

Spojrzała na niego groźnie, ale to także okazało się błędem. Lepiej było unikać jego wzroku. Złote oczy były gorące jak czerwcowe słońce.

Bezzwłocznie topiły wszelkie lody.

- To są moje prywatne sprawy i na pewno nie mają nic wspólnego z panem Edwardem.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził prezes Luc Salvatore. - Skoro zdecydowała się pani uczynić Edwarda swoim powiernikiem, proszę się teraz nie dziwić, że wyrazi on swoją opinię na ten temat, nieprawdaż panie Edwardzie? - mrugnął porozumiewawczo do strażnika.

Wreszcie zjechała winda. Drzwi powoli się otworzyły.

- Czy on na to nalega? - zapytał prezes, programując windę na siódme piętro.

- Nalega? Nie rozumiem, o co panu chodzi, panie prezesie - odparła zimno.

Dobrze wiedziała, co ma na myśli.

- Nalega, oczywiście na seks. I niech pani nie udaje głupiej z tą niewinną miną i fałszywą skromnością.

Modliła się, żeby nie zdradził jej wyraz twarzy. Przecież Luc nic o niej nie wiedział. Przez ten czas, przez ten prawie rok próby nabrała przerażającej wprawy w kłamaniu. Zaczęło to jej przychodzić dziwnie łatwo.

Jej ojciec był pastorem metodystów, gdyby dowiedział się o tym, mogłoby to złamać mu serce.

- Odmawiam odpowiedzi. I powtarzam: to nie pana sprawa.

- Proszę nie ulegać jego zachciankom - powiedział. - Zasługuje pani na coś lepszego.

Żałowała, że nie trzymała na wodzy każdego swojego słowa, nie mogła się jednak powstrzymać przed powiedzeniem:

- Cóż może być piękniejszego niż pokryta śniegową pierzynką chatka w górach, zagubiona wśród świerków?

- Sądzę, że pierwszy raz lepiej to zrobić... znam pewien uroczy hotelik w Paryżu. Tak, to byłoby najlepsze.

Spojrzała na niego przerażona. Nigdy przedtem nie robił aż tak osobistych uwag. Ta nagła zmiana w ich wzajemnych stosunkach wytrąciła ją z równowagi.

- A kto mówi, że pierwszy raz?

- Ja tak twierdzę - odrzekł spokojnie.

Nie ośmieliła się dowodzić swoich racji. Tym bardziej, że miał słuszość.

- Ogień płonie na kominku - powiedziała. - Leżymy z Willym na niedźwiedziej skórze, całkiem nadzy... - Zdawała sobie sprawę, że głos jej drży.

Przymknął oczy i przysunął się bliżej.

- Uprawianie miłości na skórze zdechłego zwierzęcia - powiedział z oburzeniem. - Ohyda. Myślę też, że dla pani delikatnego ciała skóra niedźwiedzia byłaby zbyt szorstka. Znacznie miłszy byłby z pewnością dotyk jedwabiu.

Tymczasem winda dojechała na siódme piętro. Luc zatrzymał się w drzwiach.

- Niech pani nie idzie z nim do łóżka, dopóki nie będzie pani całkowicie pewna - powiedział i wyszedł.

Drzwi się powoli zamknęły. Winda zaczęła zjeżdżać na parter. Grace ze stoickim spokojem doszła do wniosku, że to może dobrze się składa, bo zostawiła swoją parasolkę na dole, opartą o biurko pana Edwarda.

Pięć minut później znowu znalazła się na siódmym piętrze. Pośpieszyła do sekretariatu. Postawiła w łazience mokrą parasolkę, powiesiła płaszcz w szafie, zasiadła przy biurku.

Zdjęła skuwkę z czerwonego flamastra i skreśliła, z dużą wprawą, jeszcze jeden dzień w kalendarzu, kolejny dzień jej rocznego wyroku.

W tym momencie poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Luc stał w drzwiach i obserwował ją.

- Robi to pani każdego dnia - zauważył. - Jakby liczyła pani dni do... nie wiem do czego.

Aż drgnęła ze strachu.

- Nonsens - rzekła chłodno.
- Wcale nie nonsens. Dlaczego pani liczy dni?
- Nic nie liczę - upierała się.
- To już drugi raz dzisiaj - zauważył. Przełknęła ślinę.
- Co drugi raz?
- Drugi raz dzisiaj mnie pani okłamała.

Zmarszczył czoło. Złote oczy pociemniały. Aż przeszły ją ciarki. Ten wyraz twarzy niepokoił ją. Mógł zwiastować gwałtowny wybuch. Znała Luca już prawie rok i nie chciała dawać mu powodu, by ćwiczył właśnie na niej swój niesławny temperament.

- Nie lubię tego - powiedział. - Bardzo proszę więcej tego nie robić.

Nie ośmieliła się odpowiedzieć, a nawet pomyśleć, co by było, gdyby odkrył oszustwo, które zaplanowała wspólnie z jego ojcem. Luc Salvatore nienawidził mieszania się w jego sprawy, a przecież rzecz wymierzona była w niego. Teraz mogła się tylko modlić, by tego nie odkrył. Bo gdyby... Zadrżała.

Cóż się dzisiaj z nią dzieje? Może to wzruszenie spowodowane wspomnieniem świąt, matki krzątającej się po domu, zaburzyło tę spokojną, wyuczoną już rolę. Przecież przez te jedenaście miesięcy była zupełnie niezła w omijaniu prawdy i w praktykowaniu złych nawyków. Całe jej życie teraz było jednym wielkim łgarstwem. Nieważne, że czuła się tym straszliwie przybita. A jednak w tym zakłamanym świecie radziła sobie już całkiem nieźle.

Co gorsza, lubiła pracować dla Luca. On był naprawdę fantastycznym szefem. O szerokich horyzontach, wielkoduszny, inteligentny, twórczy. Nawet ich częste utarczki były w jakiś sposób interesujące, traktowała je jako wyzwanie, zachętę do lepszej pracy. To byłaby naprawdę wspaniała robota, gdyby nie miała swego źródła w łgarstwie.

Przykuł jej uwagę jakiś cichy dźwięk. Rozejrzała się. Spostrzegła wchodzącą właśnie do sekretariatu młodą kobietę niezwyklej urody. Trzymała

na rękę niemowlę, a w drugim rękę ogromną torbę, z której wystawała duża paczka pieluch.

- Czym mogę służyć? - zapytała Grace, poprawiając okulary.

Młoda kobieta rzuciła jej nieufne spojrzenie. Rozglądała się nerwowo. Gdy spojrzenie jej padło na drzwi gabinetu i zobaczyła na nich tabliczkę z napisem: „Luc Salvatore, prezes”, wydała okrzyk ulgi. Patrząc na Grace z wyzwaniem, zaczęła zbliżać się do tych drzwi.

Grace wstała. To nie wyglądało ciekawie. Młoda kobieta z dzieckiem na rękę, wpatrzona w tabliczkę z nazwiskiem Luca, jakby to stanowiło odpowiedź na jakieś ważne jej modlitwy.

- Przepraszam, czy jest pani umówiona? - zapytała Grace, jakby sama nie mogła się domyślić odpowiedzi.

Widać było wyraźnie, że jest to nie zapowiedziana wizyta. Jak przyjmie Luc to nowo odkryte ojcostwo, zastanawiała się zrozpaczona. Bo przecież Grace szybko domyśliła się prawdy. Czuła tępy ból w żołądku, zbyt oczywisty jako symptom. No właśnie... kiedy tak się zmieniły jej uczucia do Luca? Aż zdziwiła się, odkrywszy, że tak bardzo jej na nim zależy.

Nietrudno było odgadnąć, jaka sprawa sprowadziła tu tę młodą kobietę. Dziewczyna spojrzała na Grace i na drzwi, jakby oceniając swoje szanse, Grace wstała zza biurka. Dziewczyna jednak okazała się szybsza. Podbiegła do drzwi, dopadła zaskoczonego prezesa i nagle zaczęła mu coś gwałtownie wyjaśniać. Popłynął wartki potok włoskich słów.

Grace zamarła z wrażenia.

- Panno Barnes - usłyszała po chwili głos Luca. - Proszę przyjść tu do mnie.

Zajęło jej dobrych parę sekund zebranie sił, żeby spełnić jego prośbę.

Otworzyła drzwi, które wcześniej dziewczyna zatrzasnęła jej przed nosem.

Ujrzała, że matka i dziecko znalazły bezpieczne schronienie w ramionach Luca. Kobieta wyjaśniała coś po włosku, czasem słowa przerywało łkanie. Luc zadał kilka pytań, co sprawiło, że kobieta cofnęła się, znowu coś mówiła głośno i gwałtownie. Obudzone dziecko też zaczęło płakać.

- Pan mnie wzywał? - zapytała Grace.

- Proszę zejść na dół i przyprowadzić tutaj mojego brata, Pietra Salvatore.

Grace odwróciła się, by zejść na dół, i odkryła, że Pietro właśnie wchodzi do gabinetu.

- Dlaczego wszyscy tak wrzeszczą? - zapytał Pietro. Dopiero teraz spostrzegł dziewczynę w ramionach Luca i krzyknął: - Carina!

Zatem to jest dziecko Pietra, a nie Luca, pomyślała Grace. Wślizgnęła się ponownie do swojego pokoju, usiłując zbagatelizować przytłaczający sens odczutej właśnie ulgi. Z intensywnym zainteresowaniem obserwowała dalszy rozwój wydarzeń.

Pietro podszedł do Cariny. Chciał ją objąć serdecznie i właśnie w tym momencie dotarła do niego obecność niemowlęcia.

- Co to jest, do licha?! - krzyknął.

- Jak to, co to jest? - odkrzyknęła Carina. - To jest dziecko!

Niemowlę w odpowiedzi znowu zaczęło płakać. Grace, spostrzegając, że Carina pozostawiła drzwi do sekretariatu otwarte, podeszła, żeby je zamknąć. Zobaczyła dwie pracownice biura stojące przy drzwiach i słuchające wszystkiego z otwartymi buziami.

- Zawołam strażnika - zaoferowała się jedna z nich i szybko wsiadła do windy, zanim Grace zdążyła ją zatrzymać.

Grace z westchnieniem zamknęła drzwi. Co chwila jakiś problem, pomyślała.

- Wystarczy! - krzyknął Luc. - Wystarczy! Proszę o ciszę!

Ku zdziwieniu Grace posłuchali go wszyscy, nawet niemowlę.

- Wspaniale - pochwalił Luc. - Czy moglibyście wreszcie wyjaśnić przyczynę tego zamieszania?

- Oczywiście! Twój brat to świnia! - krzyknęła Carina, przechodząc na długą listę włoskich epitetów.

- Proszę po angielsku - zażądał Luc.

- Nie mówię po angielsku aż tak dobrze.

- Naprawdę? Boję się, że włoski Pietra jest słabszy niż pani angielski.

Poza tym... dobrze by było, żebyśmy zostali sobie przedstawieni.

- Luc - powiedział Pietro - to jest Carina Donati. Carina, to jest mój brat Luc i jego asystentka, panna Barnes.

- *Buon giorno.*

- Carina i ja... poznaliśmy się na uniwerku, ona jest studentką z programu wymiany...

- Już nie jestem! - krzyknęła, przytulając gwałtownie niemowlę. - Teraz jestem samotną matką! Uwiedziona i porzucona!

Pietro odwrócił się do niej. - I czyja to wina?

- Twoja! - wcisnęła mu w rękę niemowlę. - Może nie wierzysz, że jesteś ojcem!

Zacisnął ręce w pięści.

- Moi drodzy, przestańcie się kłócić - poprosił Luc. Grace przeszła przez pokój.

- Chętnie potrzymam dziecko. - Wyciągnęła ręce, mając nadzieję, że zabierze biedne niemowlę z pola bitwy.

Carina podała dziecko bez cienia protestu.

- Dzwoniłem do ciebie - tłumaczył Pietro Carinie. Mówił już znacznie spokojniejszym głosem. - Nie odbierałaś telefonów, nie chciałaś ze mną rozmawiać. Przyjechałem do ciebie do domu. Nie otwierałaś. Potem ktoś powiedział, że przeprowadziłaś się i nie zostawiłaś adresu. Szukałem cię wszędzie, ale jakbyś zniknęła z powierzchni ziemi.

Carina oparła ręce na biodrach. Pogarda błysnęła w jej pięknych, dużych oczach koloru dojrzałych śliwek.

- Oczywiście, że zniknęłam. Oszukałeś mnie!

- Nigdy w życiu!

- A co powiesz o Giovannie Carducci?

- Odeszłaś z powodu Giovanny?

Piękne oczy Cariny wypełniły się łzami. Wskazała na Pietra drżącym palcem.

- Patrzcie! On się przyznaje!

- Nie przyznaję się do niczego!

- Pozostało jeszcze parę spraw do wyjaśnienia - przerwał kłótnię Luc. - Pietro, poznaliście się z Cariną, zakochaliście się, rozstaliście się z powodu jakiejś Giovanny...

- Nieprawda! - zaprzeczył Pietro.

- *Si!* - przytaknęła Carina.

- I nic nie mówiąc Pietrowi, Carina powiła... - Luc wskazał na niemowlę.

- Toni - podpowiedziała Carina.

- Toniego. I tak właśnie się sprawa przedstawia.

- *Si* - przytaknęła Carina. - Dokładnie tak.

- W przybliżeniu - zauważył Pietro.

- Duży mężczyzna ma rację - powiedziała Carina. Duży mężczyzna westchnął.

- Waham się, czy pytać cię o to, Carina, ale po co ty właściwie teraz przyszłaś?

W odpowiedzi łzy potoczyły się ciurkiem. Pietro objął ją serdecznie.

- Kochana, co się stało? Powiedz, co się stało?

- Moja mama we Włoszech, jest bardzo chora - wyznała Carina. - Muszę pojechać do niej. Ale nie mogę.

Pietro spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego nie możesz?

- Dlaczego? - powtórzyła gwałtownie. - Patrzysz na moje słodkie maleństwo i pytasz dlaczego. Pochodzę z niedużej wioski. Wszyscy moi krewni są porządnymi ludźmi i nie mogą dowiedzieć się, że jestem panną z dzieckiem. Oni mnie wyklną! - krzyknęła. - I znalazłam rozwiązanie tego problemu!

- Mianowicie? - zapytał Luc.

Łzy znowu popłynęły po policzkach z siłą wodospadu. Wyrwała dziecko z rąk Grace i zaczęła je gwałtownie całować. Piękne, lśniące czarne włosy Cariny opadały na małą kołderkę. Potem Carina podała zawiniątko Pietrowi.

- Tony należy również do ciebie - stwierdziła. - Będiesz się opiekował dzieckiem, kiedy ja będę we Włoszech, A jak wrócę, mogę być znowu panną z dzieckiem, uwiedzioną i porzuconą.

Podła Pietrowi wielką torbę, z której wystawała paczka pieluch, i szybko wyszła z pokoju.

- Poczekaj! - wrzasnął Pietro i chciał pobiec za nią, ale poczuł, że coś mu przeszkadza.

- Musimy o tym poważnie porozmawiać - zaczął Luc.

- Później!

Niezdarnie próbował coś zrobić z dzieckiem. Rzucił Lucowi błagalne spojrzenie.

- Ja muszę ją zatrzymać!

- Panie prezesie? - strażnik uchylił drzwi. - Czy jestem potrzebny?

- Tak, panie Edwardzie - powiedział Luc. - Proszę zejść na dół na portiernię. Tam jest dziewczyna. Drobna, ciemnowłosa i zapłakana. Proszę ją zatrzymać. Zostawiła tutaj... coś bardzo ważnego.

- Tak, szefie - powiedział służbistym tonem strażnik i zniknął w drzwiach.

Luc spojrzał na brata.

- Pietro...

- Nie! Nie teraz! - Pietro wcisnął dziecko Lucowi.

- Ty się opiekuj Tonim! Ja muszę odnaleźć Carinę.

- Poczekaj! Wracaj!

Ale było już za późno. Pietro pobiegł za Cariną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nadal 337. dzień

i sprawy nie mają się dobrze...

Grace odsunęła się gwałtownie.

- O, nie. To nie moja sprawa - zaprotestowała. Luc spojrział na nią zaskoczony.

- Jak to? Opuści mnie pani w potrzebie?

- Tak.

- Zostawi pani Pietra i Carinę na pastwę losu? - pytał z niedowierzaniem.

- Tak. Ściągnął brwi.

- Jest pani obojętny los tego biednego i bezbronnego dziecka?

Grace poczuła, że trafił w jej słaby punkt. Wiedziała już, że zajmie się tym maluszkiem. Przecież zawsze uwielbiała dzieciaki. Gdy potrzebowano opiekuńki do dzieci w czasie mszy niedzielnej, ją proszono o pomoc. Kiedy ktoś z sąsiadów nie miał z kim zostawić dziecka, do niej telefonowano. Nie miała oczywiście dużego doświadczenia w pielęgnowaniu niemowląt, ale zawsze lubiła takie małe szkraby.

- To nie fair - poskarżyła się.

Luc jednak wiedział już, że ma ją w garści. Wyczuł to instynktownie.

- Idź do cioci, malutki - powiedział.

Podał Grace dziecko. Tym razem się nie cofnęła.

Luc uśmiechał się. Widziała jednak, że jest bardzo zdenerwowany.

- Zupełnie nie znam się na dzieciach - próbował się tłumaczyć. - Poza tym to nie potrwa długo. Pietro i Carina zaraz wrócą i będzie po kłopotach.

Niezdolna do dalszych protestów przytuliła słodkie, śpiące niemowlę.

Luc wskazał na dziecko i oznajmił z niewątpliwą dumą:

- To na pewno młody Salvatore. Wykapany Pietro.

- Co będzie dalej z Pietrem i Cariną? - zapytała.

- Będą musieli się pobrać. - W złotych oczach błysnęły wesołe iskierki. -

To bardzo burzliwa miłość, nie sądzi pani?

Wzdrygnęła się.

- Zbyt burzliwa.

Nurtował ją poważniejszy problem. - Jak pana ojciec przyjmie tę wiadomość? - zapytała.

- Nie najlepiej - przyznał Luc. - Jest tak samo niedzisiejszy jak rodzice Cariny.

Przesunął ręką po jej włosach.

- Nie martw się, dziewczyno - powiedział. - Ja się tym zajmę.

Najważniejsze, żeby się pobraли.

- Dobrze by było, żeby pana ojciec nie znał dokładnej daty ślubu - zasugerowała. - Nie myślę oczywiście o kłamstwie - szybko się usprawiedliwiła - ale o jakimś drobnym niedopowiedzeniu.

- Nigdy nie kłamiemy - skrzywił się ironicznie.

- Nigdy - przytaknęła zduszonym głosem.

- Tak trzeba będzie zrobić - zgodził się Luc i dodał: - Miejmy nadzieję, że pierwszy wnuczek wrzuci ojca tak bardzo, że nie będzie się gniewał.

- On chyba... nie wyklunie Pietra z rodziny... - zawahała się.

Znała rodziców, którzy reagowali w ten sposób ze znacznie bliższych powodów. Ale na pewno nie pan Dominik, pocieszała się w myślach. Pan

Dominik zrozumiałby, że to mogłoby zniszczyć szczęście całej rodziny. A przecież rodzina była dla niego najważniejszą rzeczą na świecie.

- Prawdopodobnie zareagowałby bardzo ostro - przyznał Luc, potwierdzając jej najgorsze obawy.

- Ojciec jest zdania, że absolutnie należy potępić tego rodzaju związki jak Pietra z Cariną. Sądzi, że takie rzeczy w ogóle nie powinny się przytrafiać.

- Ale..

Objął ją ramieniem.

- Zrelaksuj się, dziewczyno - powiedział. - Możesz się nie obawiać. Ja biorę to na siebie. Zaufaj mi.

Znała już Luca na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że potrafi dotrzymywać słowa. Jeśli obiecał, że zajmie się tą sprawą, trzeba mu wierzyć. Popatrzyła na Luca, na szlachetnie rzeźbione rysy jego twarzy, na bijącą z jego postaci siłę, na szczere oczy tak bardzo budzące zaufanie. Pomyślała, że mogłaby mu powierzyć swoje życie.

Luc podszedł do aparatury wmontowanej w ścianę gabinetu. Nacisnął jakiś przełącznik.

- Zobaczymy, co się dzieje na dole - powiedział.

Duży ekran rozświetlił się jaskrawo. Ujrzeni Pietra i Carinę.

- Dlaczego nie ma jeszcze Edwarda? - zaniepokoił się Luc.

- Na pewno czekał długo na windę - mruknęła Grace.

- Zobacz, kłóćą się. Spójrz na ich gwałtowne ruchy.

Mocniej przytuliła niemowlę.

- Może powinien pan zejść do nich na dół - zaproponowała.

Po krótkim wahaniu potrząsnął przecząco głową.

- Pietro nie lubi, jak wtrącam się w jego sprawy. Ustaliliśmy parę lat temu, że on sam załatwia swoje problemy. Jak będzie potrzebował pomocy, to zadzwoni.

- Na pewno?

- Nie wiem.
- Nie wiem - powtórzyła zdenerwowana. - Nie brzmi to pocieszająco.
- Pietro jest tak silną indywidualnością, że to najlepsze, co mogę zrobić.
- O, tak. Silna indywidualność - westchnęła. - To typowe dla rodziny

Salvatore.

Spojrzała na monitor.

- Szkoda, że nie możemy słyszeć, co mówią. Nie sądzę, żeby umiał pan czytać z ruchów warg.

Zaśmiał się.

- Nie ma potrzeby. Pietro krzyczy: dlaczego nie powiedziałaś mi o Tonim?

Powiedział to tak przekonująco, że Grace mimo zdenerwowania zawołała wesoło:

- Carina krzyczy: Nie musiałam mówić! To moja sprawa!

Figlarne iskierki rozbłysły w złotych oczach.

- Nieprawda, że tylko twoja sprawa. Ja jestem ojcem Toniego.

- Czyżby? - śmiała się Grace.

- Nie powinnaś była ukrywać przede mną mojego syna. - Luc przysunął się bliżej. - Miałem prawo wiedzieć o jego istnieniu.

Całkowicie wczuwając się w rolę Cariny, Grace zaprotestowała.

- Nie miałeś prawa wiedzieć! Oszukiwałeś mnie! Spotykałeś się z tą dziewczyną!

Luc otoczył ją ramieniem.

- Inne kobiety nic dla mnie nie znaczą. Tylko ty się liczysz. - Przysunął się tak blisko, że prawie dotykał jej twarzy.

Drgnęła. Z trudem zwalczyła w sobie chęć, by odwzajemnić ten uścisk, by poddać się, pozostać w jego ramionach. Pragnęła, by objął ją mocniej, żeby...

O, rety! Co się z nią dzisiaj dzieje? Do tej pory dość łatwo przychodziło zachowywać chłód i służbowy dystans. I nagle teraz, gdy już tak blisko do zakończenia próby, do realizacji jej marzeń, jej i tak kochanej zmarłej matki...

- Inne... inne kobiety... - próbowała nadal odgrywać rolę Cariny.

- Nie interesują mnie inne kobiety. Tylko ty się liczysz - powtórzył Luc.

Co prawda grał tylko rolę Pietra, ale to i tak wołało o pomstę do nieba.

- Wiesz dobrze, że wcale tak nie jest.

- Mówię prawdę - upierał się Luc. Potrząsnęła głową.

- Wcale nie. Bo tobie podobają się wszystkie kobiety. Ja jestem po prostu jedną z nich.

- Zgoda - przyznał. - Podobają mi się kobiety. Grace spostrzegła, że oboje odgrywają swe role, jak gdyby to była rzeczywistość.

Złote oczy pociemniały. Figlarne iskierki znikły bez śladu. On mówił teraz serio. Zdawało się: śmiertelnie poważnie.

- Podobają mi się wszystkie kobiety. Młode i stare, wysokie i niskie, blondynki i brunetki. Dla mnie wszystkie są piękne. Lubię zapach ich perfum, kocham smak ich ciała. Rozkoszą jest dla mnie słuchanie ich głosu. Fascynuje mnie seks i gry miłosne.

Potrząsnęła głową przyciskając Toniego do piersi.

- Mówisz tyle pustych słów. To wszystko bujdy. Kobiety lecą na ciebie, dostajesz je zbyt łatwo. Zbyt łatwo, byś mógł je cenić naprawdę, żebyś potrafił wybrać jedną z nich.

- Mylisz się - powiedział.

Jego głos zrobił się lekko chropawy, słychać było wzruszenie.

- Salvatorowie zakochują się tylko raz w życiu, raz na zawsze. I zawsze są wierni.

- Ja... nie mogę ci uwierzyć.

- Musisz, ponieważ to prawda. Mężczyźni w naszej rodzinie nigdy nie zdradzają. I to właśnie mówi teraz Pietro Carinie. To znaczy, gdybym był na jego miejscu, powiedziałbym to mojej ukochanej dziewczynie.

Przymrużyła oczy. Wymowa jego słów bladła powoli. Nie wiedziała, co myśleć, co powiedzieć. Spojrzenie jej padło na ekran monitora.

- Patrz, Luc! - zawołała.

Carina i Pietro przestali już dyskutować. Los planował na ten dzień znacznie żywszą akcję. Carina chwyciła wielki wazon z różami, który stał przy drzwiach i nagle wylała całą zawartość na głowę Pietra. Brudna, mazista ciecz spływała mu po ramionach i skapywała na podłogę.

- Obawiam się, że jego wyjaśnienia nie były równie gładkie jak twoje - mruknęła Grace.

- Też się tego obawiam - westchnął Luc. - Carina jednak lekko przesadziła.

Pietro krzychał coś żywo gestykułując. Zaraz potem na scenie pojawił się strażnik. Czyścił garnitur Pietra, zdejmując szczoteczką zmaltretowane szczątki róż.

- Wolałabym, żeby Carina odstawiła wreszcie ten wazon - stwierdziła Grace.

- Niepokoi mnie, gdzie ona odstawi ten wazon - westchnął Luc.

- Gdzie...

I zaraz potem strażnik próbował odebrać Carinie wazon. Dziewczyna zaczęła się z nim szamotać i nagle wazon wysunął się jej z rąk i upadł akurat na głowę Pietra, który pochylony czyścił sobie właśnie buty z listków róży.

Przewrócił się, jakby zasypała go cała ciężarówka cegieł.

Luc podbiegł do telefonu.

- Panie Edwardzie, proszę wezwać doktora! Szybko!

- Biegnę do niego!

- Luc, poczekaj! Zobacz, co tam się dzieje! - krzyknęła Grace. - To nie wygląda dobrze.

Pietra już nie było widać na ekranie. Przesłonił go tłum, który zgromadził się wokół.

Uwaga strażników skupiona była na Carinie, wylewającej obficie łzy. Co gorsza, do drzwi frontowych zbliżyło się dwóch oficerów policji, a raczej dwoje...

Carina popatrzyła na strażników, potem na policjantów. Nagle zdecydowała, że lepiej oddać się pod opiekę prawa, niż narażać się na atak rozwścieczonych ochroniarzy znokautowanego pracodawcy i skierowała się w stronę policjantów.

- Nic nie poradzę - denerwował się Luc. - Carina zniknie z pola widzenia, zanim dojdę do windy. Pierwsza przejeżdżająca taksówka zawiezie ją na lotnisko.

- Co z Pietrem? - niepokoila się Grace.

- Poczekaj chwilę. Podnosi się, dzięki Bogu - Luc odetchnął z ulgą. - Chyba nic mu nie jest - powoli się uspokajał. - Dlaczego nie ma jeszcze doktora?

- Zobacz! - zawołała Grace. - Pietro woła policjanta.

- Prawdopodobnie, żeby nie aresztował Cariny.

- Dlaczego ta policjantka trzyma kajdanki? - zdenerwowała się Grace. - Przecież nie zaaresztują Pietra. On nie zrobił nic złego.

- Oprócz obrażania władzy, o ile znam mojego brata. Gliny tego nie lubią. Spojrzał na ekran i odetchnął z ulgą.

- Co się dzieje? On też ucieka! - krzyknęła Grace.

- Do licha, on chce dogonić Carinę. Mogłem się tego domyślić.

- A co z Tonim? Pietro chyba nie sądzi... Oczy rozszerzyły jej się z niedowierzaniem. Luc uśmiechnął się i skinął głową.

- Musimy zaopiekować się Tonim aż oni załatwią swoje sprawy.

- O, nie! Nie ma mowy! - zaprotestowała Grace.

Niespodziewanie zadzwonił telefon. Luc podniósł słuchawkę.

- Pan Edward? I co z Pietrem? Tak, wiem, że pobiegł za Cariną.

Luc szepnął do Grace:

- Tak jak mówiłem, pojechał za nią na lotnisko.

- Halo, panie prezesie. Czy pan mnie słyszy? Jest pewien problem...

- O co chodzi, panie Edwardzie? - zapytał Luc.

- Hm... nie będzie pan zadowolony, gdyż...

- Nie rozumiem.

- Hm... szczerze mówiąc...

- Panie Edwardzie!

Nagle usłyszeli energiczne pukanie do drzwi gabinetu.

- Policja! Proszę otworzyć!

- Policja chciała się z panem widzieć - dokończył strażnik.

Luc zamarł na chwilę. Potem zmienionym głosem powiedział:

- Dziękuję, panie Edwardzie, proszę wrócić do swoich zwykłych obowiązków i poinformować mnie natychmiast, gdy tylko wróci Pietro.

Odłożywszy słuchawkę podszedł do drzwi.

- Luc? - niepewnie szepnęła Grace.

- Nic się nie bój, wszystko będzie dobrze. Już wiem co mówić.

- Dzień dobry. Luc Salvatore, prezes Salvatore Enterprises. Czym mogę służyć?

- Policja, moje nazwisko Hatcher - przedstawił się wysoki, barczysty policjant.

- Janet Cable - wtrąciła stojąca przy nim młoda policjantka. -

Otrzymaliśmy raport w sprawie porzuconego dziecka - policjantka spojrzała na niemowlę, które Grace trzymała na ręku.

- To nie jest żadne porzucone dziecko - Luc stanął pomiędzy policjantką a Grace.

- Tak? Jest pan może ojcem tego dziecka?

- To synek mojego brata.

Policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Barczysty policjant napreżył mięśnie.

- Proszę o dokumenty.

Luc wyjął z portfela prawo jazdy i podał je policjantce. Zaczęła sumiennie spisywać dane.

- Mam nadzieję, że moje oświadczenie państwu wystarczy? - posłał jej jeden ze swych czarujących uśmiechów.

Grace czekała na reakcję na ten uśmiech. Nie trwało to długo. Policzki policjantki spłonęły silnym rumieńcem.

To nie było nawet wyrachowanie Luca. Przecież przyznał przed chwilą, że uwielbia kobiety, że kocha każdą z nich.

- Myślę, że rozmawiali państwo na dole z moim bratem, Pietrem Salvatore...

- Młody człowiek, biorący udział w sprzeczce z tą kobietą?

- Tak. Drobne rodzinne nieporozumienie - Luc starał się zbagatelizować całą sprawę. - Czasami reagujemy zbyt emocjonalnie.

- Ta kobieta jest...

- Żoną mojego brata. Moją szwagierką.

Grace aż tchu zabrakło, gdy usłyszała to kłamstwo. Spojrzała na Luca z niedowierzaniem. Nawet okiem nie mrugnął. Ani też nie patrzył na nią.

Natomiast policjantka przyjrzała się Grace z ciekawością. Grace udała bardzo zaabsorbowaną niemowlęciem.

- Czy chciałaby pani złożyć zeznanie, pani...

- Barnes. Grace Barnes. Tak, oczywiście... Czy mogłaby mi pani podać tę torbę z pieluszkami? Wydaje się, że mamy tu mały wypadek.

Policjantka popatrzyła podejrzliwie, ale nie odczytała kłamstwa z jej twarzy.

Grace uśmiechnęła się w podziękowaniu, położyła torbę na biurku, rozłożyła kocyk, naszykowała czystą pieluszkę. Była zła na Luca. Nie powinien okłamywać policji. Odwinęła kołderkę, rozpięła śpioszki...

- Wracając do sprawy - rzekła policjantka. - Jak się nazywa matka dziecka?

- Carina Donati... Salvatore.

- Matka porzuciła dziecko, po czym udała się na lotnisko.

- Matka Cariny mieszkająca we Włoszech jest bardzo chora - wyjaśnił Luc. - Brat chciał, żeby polecieeli do Włoch oboje, ale Carinie zależało na każdej minucie. - Zawahał się. - Przykro mi, że sprawiamy państwu kłopot. Mam wrażenie, że ta interwencja nie była konieczna.

- Wracając do sprawy, czy chce pan zostać z dzieckiem aż do powrotu brata?

- Oczywiście, przecież to tylko parę godzin. Policjantka powiedziała coś przyciszonym głosem do swego kolegi.

Grace pochyliła się nad wielką torbą i zaczęła wyjmować z niej pieluszki, olejek, zasypkę...

Policjantka naradzała się przyciszonym głosem ze swoim kolegą. Co jakiś czas przyglądała jej się badawczo.

- Jestem odpowiedzialnym człowiekiem, szefem dużej firmy, cieszę się powszechnym szacunkiem - powiedział Luc. - Sądzę, że nie ma w tym nic złego, że przez parę godzin będę się opiekował moim siostrzeńcem.

Grace, zmieniając pieluszkę, nagle zamarła, pieluszka wysunęła jej się z ręki i wylądowała na podłodze.

- Czy to nie powinno wystarczyć? - pytał Luc.

- Czy kiedykolwiek zajmował się pan tak małym dzieckiem? - zainteresowała się policjantka. - Jest pan człowiekiem pracy i z pewnością nie dysponuje czasem. Czy potrafi pan zapewnić dziecku fachową opiekę?

Grace, nie tracąc ani jednej zbędnej sekundy, wyciągnęła z torby następną pieluszkę, którą błyskawicznie wsunęła w śpioszki dziecka i szybko zapięła kombinezon.

Luc podszedł do niej, objął serdecznie.

- Kochanie - powiedział przyciszonym głosem. - Teraz musisz pokazać, że potrafisz opiekować się dzieckiem.

- Nie teraz! - prawie krzyknęła.

- Teraz, kochanie.

- Będziemy się opiekować dzieckiem. Ja i moja narzeczona - zwrócił się do obojga policjantów.

Grace starannie zapinała dziecku śpioszki.

- Jesteście państwo zaręczeni? - spytała policjantka, nie ukrywając niezadowolenia.

Policjant poprawił czapkę i uśmiechnął się szeroko. Policjantka lekko wzruszyła ramionami.

- Wygląda na to, że był to fałszywy alarm - rzekła. Policjant okazał się przezorniejszy.

- Będziemy w kontakcie - powiedział. - Następnym razem, gdy przyjdę, chciałbym porozmawiać z rodzicami dziecka.

Nie zadawali już więcej żadnych kłopotliwych pytań. Luc odprowadził policjantów do windy. Grace ponownie położyła dziecko na biurku i zaczęła poprawiać pośpiesznie wciśnięte śpioszki. Szkrab pokrzykiwał i wierzgał nóżkami, niewątpliwie rozzłoszczony, że co pięć minut zakłóca się jego spokój.

Luc pojawił się w drzwiach.

- Co robisz? - zapytał.

- Zmieniam dziecku pieluszkę.

- Znowu?

- Tak, znowu. Wtedy musiałam zrobić to bardzo szybko i wyszło trochę niestarannie.

- Dlaczego? Nie rozumiem.

- Czy wie pan, co by było, gdyby ona zobaczyła, jak przewijam dziecko?

Uśmiechnął się.

- Co by było?

- Zobaczyłaby, że Toni to teraz Tonia.

- Co takiego?

- Chodzi o to, że to nie bratanek, a bratanica. Grace skrzyżowała ręce na piersi.

- Toni to zdrobnienie od Antonii, nie od Antonia.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Luc z zachwytem. - Fascynujące! To pierwsza dziewczynka w rodzie Salvatore od czterech pokoleń. Może nawet od pięciu. Fantastyczne.

Grace próbowała uciszyć jego emocje.

- Spokojnie, Luc. Jeśli ci policjanci dowiedzą się, że nie wie pan, jakiej płci jest dziecko brata, to wszystko diabli wezmą. Wsadzą nas do więzienia, a TONIĘ do domu dziecka.

Potrząsnął głową.

- Nie możemy do tego dopuścić.

- Już nic nie poradzimy. Jak pan mógł?

- Co jak mogłem?

- Tak im nakłamać! Takie szachrajstwo! I po co zaczynać z policją? - denerwowała się Grace.

Wzruszył ramionami.

- To było konieczne.

- Nie powinien pan mieszać mnie w swoje rodzinne problemy - stwierdziła.

Zaśmiał się i objął ją ramieniem.

- Nasze problemy - przypomniał delikatnie. - Jesteśmy zaręczeni. Sama twierdziłaś tak przed policją.

Potrząsnęła głową z oburzeniem.

- Nie... przynajmniej nie mówiłam, że właśnie z panem jestem zaręczona. Mówiłam, że w ogóle jestem zaręczona. Pan dobrze wie o tym, panie prezesie.

Obejrzał się niespokojnie w stronę drzwi.

- I nie możesz teraz mówić do mnie panie prezesie, bo jeszcze ktoś usłyszy i będziemy mieli kłopoty. Policja zanotowała, że jesteś moją narzeczoną. Na imię mam Luciano, zdrobniale Luc.

- Tak, panie prezesie. I to wszystko były kłamstwa. Pietro i Carina nie są małżeństwem. Proszę wybaczyć, ale nawet pana bratanek nie jest chłopcem.

Grace przymknęła oczy i policzyła powoli do dziesięciu. Złość nic nie pomoże.

- Pozwól, że ci wyjaśnię - powiedział stanowczo Luc. - Nie pozwolę policji ani nikomu innemu odebrać mi Tonię. Zrobię wszystko, dosłownie wszystko, żeby to dziecko było ze mną.

Nie miała wątpliwości, że jest zdecydowany na wszystko. Grace musiała przyznać, że podziela jego odczucia. Byli oni bardzo zżytą rodziną. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - to było ich hasło. Poza tym Grace pomyślała sobie, że jednak ma wobec Luca pewne zobowiązania. W końcu oszukiwała go codziennie, z nadzieją, że dostanie za to pieniądze od Doma. Przecież i tak codziennie kłamała, że ma narzeczonego. A czy on miał na imię Willy, czy Luc, to poniekąd obojętne. Tak czy owak było to oszustwo.

- Do czego będę panu potrzebna? - zapytała.

Uśmiechnął się z satysfakcją. W złotych oczach znowu błysnęły figlarne iskierki.

- Nie proszę cię o wiele. Po prostu zostaniesz teraz ze mną udając moją narzeczoną, jeśli to będzie konieczne. Aż do powrotu Pietra i Cariny.

- Dwie godziny. Dłużej nie będę mogła zostać. Potem muszę wracać do domu.

- To nie całkiem tak, moja droga. Będziesz mi potrzebna aż do powrotu Pietra i Cariny.

- Nie! - krzyknęła.

- Opuścisz mnie w potrzebie? - zapytał z oburzeniem.

- Tak.

- Zostawisz Tonię w trudnej chwili na łaskę losu?

- Oczywiście. Mam własne sprawy, mam narzeczonego. A co będzie, jeśli Pietro nie dogoni Cariny na lotnisku? A jeśli pojedzie za nią do Włoch? To może potrwać dłużej niż dwie godziny. Kilka dni, a nawet całe wieki - zaprotestowała zdecydowanie.

Potem spojrzała na Tonię. I pomyślała, że mimo wszystko za żadną cenę nie pozostawi bezbronного niemowlaka na łasce losu.

- Pan gra nie fair - powiedziała.

- Owszem. Czasami gram nie fair - przyznał. - Ale zwyciężam.

I posłał jej najbardziej czarujący, najniebezpieczniejszy uśmiech.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dzień 337. - coraz gorzej...

- Nie, nie, za dużo wody - denerwował się Luc. - Spójrz na przepis: do trzech miarek mleka w proszku dolać pół szklanki wody... Uważaj, Grace! Co robisz? Wszystko wylałaś.

- Ja wylałam? - Grace gwałtownie odgarnęła włosy z czoła. - To pan potrącił moje ramię.

Ręce jej się trzęsły. Rozpaczliwie próbowała zapanować nad nerwami.

- No dobrze - zgodził się. - Biorę winę na siebie. A teraz uważaj, co robisz, bo...

Butelka wyslizgnęła się jej z rąk. Już po chwili płynęła po dywanie biała strużka mleka.

- Wylało się na dywan - szepnęła ze zgrozą.

- Sprzątaczką sobie z tym poradzi - uśmiechnął się. - Weź inną butelkę.

- Nie mogę - odparła stanowczo.

- Dlaczego?

- Sprawa jest prosta. - Wreszcie udało jej się przybrać właściwy ton, zimny i oficjalny. - Mieliśmy tylko jedną butelkę.

- Zaraz coś na to poradzimy - odparł lekko i podszedł do telefonu.

- Panie Edwardzie, potrzebujemy natychmiast nowej butelki - zadysponował. - Proszę również posłać kierowcę po mleko w proszku. Grace była tak niezręczna, że wszystko wylała.

- Jak mogłam kiedykolwiek myśleć, że on jest przystojny - mruczała ze złością. - Ohydny prostak. Chyba musiałam być ślepa.

- Co mówisz? - zapytał, odsuwając słuchawkę od ust.

- Proszę powiedzieć panu Edwardowi, żeby zamówił ten sam rodzaj mleka w proszku. Tę samą mieszankę, jaką dawała dziecku Carina. Żeby nie było pomyłki.

- Panie Edwardzie, Grace obawia się, że pan coś pokręci i prosi, żeby to był koniecznie ten sam rodzaj odżywki dla niemowląt, mleko wzbogacone w żelazo.

Podbiegła i gwałtownie wyrwała mu słuchawkę.

- Panie Edwardzie, ja nic takiego nie mówiłam! - krzyknęła. - Nawet mi przez myśl nie przeszło... Halo! Halo! Czy pan mnie słyszy?

Luc śmiał się, naciskając jakiś przycisk w aparacie telefonicznym.

- No i widzisz! Pan Edward odłożył słuchawkę. Nie chciał z tobą rozmawiać.

Grace wsunęła energicznie niesforny kosmyk włosów, który wymykał się spod gumki recepturki i spadał jej na czoło. Poprawiła zsuwające się z nosa okulary. Spojrzała na niego ze złością i krzyknęła:

- To obrzydliwe! Wszystko ma swoje granice! Nawet jeśli chodzi o pana. I biorąc pod uwagę, jak bardzo potrzebuje pan teraz mojej pomocy, radziłabym...

- Cicho, sza - przerwał. - Nie krzycz, bo obudzisz dziecko.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, z drugiego krańca pokoju dobiegło ich ciche popiskiwanie.

- No tak! Jest już za późno! - Patetycznie złożył ręce na piersiach. Spojrzał na nią z wyrzutem. - Doprowadziłaś dziecko do płaczu.

- To jest nie do wytrzymania. Powinnam...

- Spokojnie, spokojnie - podszedł do telefonu i ponownie połączył się ze strażnikiem.

- Panie Edwardzie! Panie Edwardzie! To dziecko płacze! Z jakiego powodu? Właśnie nie mam zielonego pojęcia. Skąd mam wiedzieć. Już od dawna nie jestem takim małym dzieckiem. Co pan mówi? Że albo ma mokro, albo głodne? Tak, rozumiem.

On faktycznie nie ma pojęcia o pielęgnowaniu niemowląt, pomyślała Grace. Trudno, trzeba mu pomóc. Doszła do wniosku, że powinna przejąć sprawy w swoje ręce. Znowu podeszła do Luca.

- To może sprawić nam pewną trudność - mówił Luc do tubki. - Do tej pory nie wysłał pan kierowcy po mleko w proszku i po butelki? Jak już mówiłem, nie mamy mieszanki ani też choćby jednej czystej butelki. Wyparzyć wrzątkiem? Na razie proszę się skoncentrować na wykonaniu mojego polecenia.

Wyrwała mu słuchawkę.

- Panie Edwardzie, przy aparacie Grace. Ja wcale nie mówiłam, że może pan coś pokręcić. Ja tylko chciałam mieć pewność, że zamówi pan odpowiedni rodzaj odżywki.

- Tak, panno Barnes - odrzekł strażnik z głębokim westchnieniem.

- Nie rób z Edwarda idioty, on na pewno nic nie pokręci - odezwał się Luc dość głośno.

- Proszę zapisać - mówiła Grace do telefonu. - Mieszanka dla niemowląt, symbol..., ta z dodatkiem żelaza. Ta sama, którą dawała dziecku Carina.

- Tak, panno Barnes. Luc wyrwał jej słuchawkę.

- Czy pan tam jest, panie Edwardzie? Proszę posłać kierowcę do sklepu. Chyba nie jest pan głupi, żeby coś pokręcić?

- Nie jestem, panie prezesie.

- Luc, daj spokój! - krzyknęła Grace. - Ja to załatwię!

- Tak jak załatwiłaś butelkę i mleko w proszku?

- To nie moja wina. To przez ciebie. Odebrała mu słuchawkę.

- Panie Edwardzie! Halo! Halo!

- On już dawno odłożył słuchawkę - zaśmiał się Luc.

- Jestem, jestem, panie prezesie. Halo!

- W takim razie zastanówmy się spokojnie, co będzie potrzebne. Butelkę trzeba będzie wysterylizować. Mam nadzieję, że kierowca się pośpieszy. A co z pieluszkami? - Grace wreszcie zapanowała nad nerwami. - Te pieluszki, które mamy, na pewno nam nie wystarczą. Musimy zrobić jeszcze jedno zamówienie.

- Jaki rozmiar pieluszek? - zapytał przytomnie strażnik, ojciec trojga dzieci.

Zawahała się. - Mały?

- Oni to określają według ciężaru dziecka. Przygryzła dolną wargę.

- Nie wiem, ile ona waży.

- Grace! Grace! - krzyknął Luc z drugiego końca gabinetu. - Odejdź szybko od tego telefonu! Z Tonia dzieje się coś niedobrego.

Bez słowa rzuciła słuchawkę i podbiegła do niego.

- Co się stało? - uważnie przyjrzała się dziecku. - O co chodzi?

- Spójrz na nią! - rozkazał. - Ona zwymiotowała. I nie wiemy, jaka to choroba. Może ta mieszanka nie jest właściwa i Tonia się zatrula? Dzwonię po lekarza.

- Chyba żartujesz - uśmiechnęła się Grace. - Po prostu ułało się. Niemowlakom często się to zdarza. Gdyby dorosłemu tak się robiło, na pewno musiałby iść do lekarza. A u takiego małego dziecka to normalna sprawa.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Za to mam inny problem.

Widziała, że odetchnął z ulgą.

- Na pewno masz problem. Po prostu Tonia przeszkadza ci w pracy biurowej.

- Nie całkiem. Mamy za mało pieluch.

- Zadzwoń do Edwarda.

- Nie, zaczekaj. Ja już z nim rozmawiałam. I nie wiemy, jaki to ma być rozmiar.

- Mały. Jak najmniejszy - szybko zdecydował Luc. Spojrzała na niego z wyższością.

- To się określa na podstawie ciężaru dziecka.

- Lekki. Jak najlżejszy.

Przybrała oburzoną minę. Tymczasem Luc zaczął się śmiać tak zaraźliwie, że zanim się spostrzegła, też wybuchnęła śmiechem.

- Jesteśmy szaleni! - zawołała, nie mogąc powstrzymać wesołości.

- Bo to jest cudowne - powiedział Luc z zachwytem. - Mam bratanicę. To naprawdę wspaniałe uczucie.

Objął Grace ramieniem i wspólnie przyglądali się Toni.

To było urocze. Zbyt urocze. Powinna od razu wycofać się z tego uścisku. To z pewnością wykraczało poza służbowe obowiązki, łamało umowę z Dominikiem Salvatore. Z lekkim westchnieniem Grace pomyślała sobie, że to tylko taki kumpelski uścisk, a nie żadne sprawy damsko-męskie. I zapom-

niawszy się na chwilę, przytuliła się do niego, opierając głowę o jego obojczyk. Tylko przez chwilę nie kontrolowała swoich emocji, ciesząc się jego bliskością. Wiedziała, że to po kumpelsku. Ale stało się teraz prawdą, że zapragnęła jego dotyku i pieśczoty z niezwykłą pożądlivością. Wydało jej się to tak niezbędne do życia jak jedzenie i picie. Albo jeszcze bardziej.

- Słuchaj - szepnął, przysuwając się jeszcze bliżej, o ile to było możliwe. - Słuchaj, co ona teraz robi?

- Ona gaworzy - szepnęła Grace.

Musnął włosami jej policzek.

- Co to znaczy? Czy myślisz, że ona coś chce nam powiedzieć w swoim własnym języku?

- To brzmi trochę, jakby uczyła się wymawiać poszczególne litery - zastanowiła się Grace. - Myślę, że chce powiedzieć, że jest szczęśliwa.

- Szczęśliwa? To dobrze.

- Tak, wspaniale - potwierdziła Grace. Nagle spoważniała. - Luc!

Potrzebne nam są pieluszki.

- Co takiego?

- Pieluszki!

Miała wrażenie, że uczestniczy w pięknym śnie. Nie była panią swojej woli. Ścisnęła kurczowo koszulę Luca, gniotąc ją niemiłosiernie. Potem niemal podświadomie poprawiła mankiety koszuli. Wyczuła poprzez materiał silne mięśnie...

Potrząsnął głową.

- Nie potrzebujemy pieluszek. Jest coś o wiele ważniejszego. Zapewniam cię, że nie chodzi tu o pieluszki.

Zaczerwieniła się.

- Być może ty nie potrzebujesz pieluszek, ale pomyśl o Toni. Czy już przestałeś opiekować się dzieckiem?

- Bardzo wnikliwa uwaga. Ale jeśli nadal będziesz mnie tak słodko obejmować, nie będę w stanie skoncentrować się na pieluszkach.

Odskokczyła nerwowo.

- Ja wcale nie chciałam. To... niechcący. Przypadkowo.

- Pozwól mi zgadnąć - zaśmiał się. - Pomyliłaś mnie z Willym-Williamem.

Przeraziła się. Jak mogła być tak głupia? Stracić wszystko dla tej jednej chwili? Przecież знаła Luca. Wiedziała, że nie igra się z ogniem. Jak mogła pozwolić, żeby ją dotknął? Jak mogła odwzajemnić ten uścisk? O Boże!

- To się już więcej nie powtórzy, panie prezesie. Przepraszam.

Zbliżył się do niej.

- Co się nie powtórzy? Nie pomylisz mnie więcej z Willym-Williamem? Czy nigdy więcej nie przytulisz się tak słodko?

- Dobrze pan wie, co mam na myśli. Ale przepraszam. - Nienawidziła go. Nie cierpiała z całych sił, wściekła, że znalazła się w tak bezsensownej sytuacji.

- Nie miałam zamiaru pana dotykać. To stało się zupełnie przypadkowo. Poza tym jest sprawą oczywistą, że nie mylę pana z Wi...lliamem.

Śmiał się teraz do rozpuku.

- Nawet nie potrafisz wypowiedzieć jego imienia, żeby się nie zająknąć. To jakieś dziwne narzeczeństwo.

- William! William! William! Oczywiście, że potrafię. Czy teraz się panu podoba? - krzyknęła z wściekłością.

Wzięła głęboki oddech, przymknęła oczy i policzyła w myślach do dziesięciu. Czekala, aż złość minie. Powinna być bardzo ostrożna. W przeciwnym bowiem razie może dojść do sytuacji, w której nie będzie w stanie kontrolować emocji i wszystko się wyda.

- Czy moglibyśmy wrócić do sprawy pieluszek, panie prezesie? - zapytała, opanowawszy się, chłodnym, oficjalnym tonem.

Przestraszyła się nagle, że prezes zacznie ją znowu wypytywać o Willy'ego. On stanowczo za bardzo interesował się jej fikcyjnym narzeczonym. Trzeba za wszelką cenę unikać tego tematu.

- To był trudny dzień - dodała. - Oboje jesteśmy zdenerwowani.

- I możemy powiedzieć sobie jakieś niepotrzebne słowa, których potem będziemy żałować. Czy to chciałaś powiedzieć?

- Tak - potwierdziła cicho.

- Zatem zajmijmy się pieluchami. Podszedł do Toni i wziął ją na rękę.

- Proszę ze mną. Zaraz to załatwimy.

Opuścił swój gabinet, z Tonią na ręku podszedł do windy. Po krótkim wahaniu Grace podbiegła do niego. Przekreśliła klucz w drzwiach gabinetu. No tak, od razu stali się przedmiotem obserwacji dla kilku pracownic biura. Zauważyła, że Luc z dumą słuchał, jak jego podwładne zachwycają się malutką. Na szczęście podjechała winda, szybko uwalniając ich od natrętnych kibiców.

Luc wziął Grace pod rękę. Zaprogramował windę na suterene.

- Dokąd jedziemy? - zapytała gwałtowniej, niż zamierzała.

Znowu przymknęła oczy i policzyła po cichu do dziesięciu.

- Do pokoju pocztowego.

- Dlaczego tam?

- Poczekaj. To niespodzianka.

Opuściwszy windę skierował się do długiego korytarza wyściełanego buraczkowym chodnikiem, a następnie do olbrzymiego pokoju pocztowego. Wszyscy pracownicy zamarli z wrażenia na ich widok, ale Luc zupełnie się tym nie przejął. Podszedł do biurka, na którym stała precyzyjna waga pocztowa i ostrożnie ułożył Tonię na szalce.

- Dwanaście funtów, jedenaście i pół uncji - obwieścił z dumą. - Grace, możesz zamówić pieluszki.

- Przyznaję, to mnie naprawdę zaskoczyło - szepnęła z zachwytem.

- To jeszcze nie wszystko. Niebawem przekonasz się, jak bardzo potrafię cię zaskoczyć.

Zabrzmiało groźnie. Czyżby coś podejrzewał?

- Czym? - zapytała niewinnie.

- Czas pokaże - odparł spokojnie i już oboje nie wracali do tego tematu.

Grace podeszła do najbliższego telefonu i połączyła się z panem Edwardem. Zamówienie zostało złożone. Nie tracąc czasu wjechali z powrotem na siódme piętro.

Pół godziny później czekały dla nich na portierni wysterylizowane butelki, kilka opakowań odżywkii dla niemowląt i wielka paczka pieluch.

Wkrótce potem Grace siedziała w ogromnym, miękkim fotelu w gabinecie Luca, trzymając Tonię na ręku. Malutka piła mleko z butelki i wyglądała na zupełnie zadowoloną, za to Grace poczuła, że jest okropnie zmęczona. Oparła się wygodniej i zsunęła z nóg twarde, niewygodne pantofle.

- Wygodniej bez butów? - uśmiechnął się Luc.

- Tak. Dużo wygodniej - potwierdziła.

- To siedź i odpoczywaj - powiedział. - Ja mam jeszcze parę spraw do załatwienia - pochylił się nad jakimiś papierami leżącymi u niego na biurku.

- Dobry pomysł - spojrzała na niego z wdzięcznością. - Wiesz co?

- Co takiego? - spojrzał na nią znad papierów.

- Nie ma nic piękniejszego w świecie niż takie maleństwo - ziewnęła szeroko.

I zbyt zmęczona, zbyt śpiąca, by cokolwiek jeszcze powiedzieć, przymknęła oczy i popuściła cugli wyobraźni. Obrazy pojawiły się przed oczami piękne, romantyczne, szalone, choć oczywiście mało prawdopodobne. Powoli zapadała w sen.

- Grace, obudź się.

- Idź sobie - zaprotestowała sennym głosem.

- Wstawaj, *cara mia*. Czas iść do domu.

- Do domu? - Nagle przypomniała sobie wszystko. Usiadła z jękiem.

Potem dech jej zapało z przerażenia. - Dziecko! Ja zasnęłam!

- Nie przejmuj się, dziewczyno. Wszystko w porządku. Wziąłem od ciebie TONIĘ, gdy zobaczyłem, że zasypiasz.

- Która godzina?

- Ósma.

- I co z Cariną?

Potrząsnął głową. Bez zmian.

Odgarnęła włosy z oczu i obciągnęła rąbek spódnicy, żeby zakryć kolana. Musi dbać o swoje przebranie. Jeśli nie będzie ostrożna, misternie knute plany pana Dominika wyjdą wkrótce na jaw. Czy Luc zauważył coś niezwykłego? Przyjrzała mu się badawczo.

- Coś im się musiało wydarzyć - powiedziała.

- Lotnisko nie jest daleko. Dawno powinni byli wrócić.

- Mają wiele spraw do omówienia - lekko wzruszył ramionami. - Pietro wie, że Tonia jest z nami bezpieczna. Wkrótce się do nas odezwie.

I gdy to mówił, jak na zawołanie zadzwonił telefon.

- Moja prywatna linia - mruknął Luc.

- Dzięki Bogu - szepnęła Grace. Wiedziała, że tylko rodzina korzystała z prywatnej linii.

- Pietro! - wołał Luc. - Gdzie jesteś, do cholery? Słuchał przez kilka minut, potem coś mówił po włosku. Nieważne, że nie rozumiała. Z gniewnego tonu wywnioskowała, że są jakieś problemy.

- Masz się jutro zgłosić - powiedział w końcu Luc.

- W przeciwnym razie pójdę z tą sprawą do ojca.

- Dobre wieści? - spróbowała się uśmiechnąć. Luc nie miał zadowolonej miny.

- Pietro minął się z Cariną na lotnisku, tak jak się obawialiśmy.

- I kiedy przyjdzie po Tonię?

- Nie dzisiaj - mruknął. Niestety nie mogła dojrzeć, jaki ma wyraz twarzy, gdyż padał na nią ciemny cień abażura. - I nie jutro.

- Co? Co to znaczy?

- To oznacza, że wpakowaliśmy się na dłużej, niż przewidywałem. -

Podszedł do światła i dopiero teraz widziała w całej rozciągłości jego niezadowolenie. - Pietro dzwonił z samolotu, z pokładowego telefonu. Pojechał do Włoch szukać Cariny.

Leżące na biurku niemowlę obudziło się z głośnym płaczem. Grace podbiegła i wzięła je na ręce.

- Moje słodkie szkrabiątko, zaraz zmienimy pieluszczykę - mruczała podnosząc dziecko.

Niełatwo będzie teraz odwołać obietnicę pozostania przy dziecku aż do powrotu Pietra i Cariny. Zerknęła nerwowo na Luca. Z jego wnikliwego spojrzenia wywnioskowała, że on także nie zapomniał o tej obietnicy.

Przymknęła oczy. O Boże! Po co się w to wplątała?

- Grace, drzwi, teraz.

- Gdybyś nie zasłaniał mi światła, otwierałabym dużo szybciej. W takich eleganckich blokach klatki schodowe powinny być lepiej oświetlone. - Trochę przeszkadzały Grace ciemne okulary, na szczęście Luc nie wpadł na to.

- Grace! - Jego głos brzmiał jak poważne ostrzeżenie. - Jeśli się nie pośpieszysz, upuszczę te cholerne słoiki.

Odgarnęła włosy z oczu i ponownie spróbowała otworzyć. Zamek nie poddawał się i ciągle znajdowali się nie po tej stronie drzwi, po której chcieli.

- Mówiłam, gdy byliśmy w zieleniaku, żeby nie brać puszek ze szpinakiem ani tych soków. Ona jest na to za mała. A poza tym nie potrzebuje tego aż tak dużo.

- Do licha, zapomniałem o brzoskwińkach - Luc przyglądał się kilkunastu plastikowym torebkom.

- Mój drogi, jestem zdruzgotana. Spójrz na Tonię, ona także jest na granicy załamania. Jak my sobie poradzimy bez brzoskwiń?

- Jedyna osoba, której grozi załamanie, to ja. Pośpiesz się z tymi drzwiami, bo...

Jedna torebka pękła pod ciężarem zakupów i posypał się na podłogę grad niedużych słoiczków z przecierami owocowo-warzywnymi. Były na szczęście nie ze szkła, lecz z nietłukącego plastiku.

Luc aż zaklął.

- Czy powinieneś wyrażać się tak w obecności niewinnego niemowlęcia?

- zapytała zdeglustowana Grace.

- Tak! - burknął. - Zawsze będę tak się wyrażał, kiedy dziesięć kilo słoików będzie spadać na moje stopy.

- Ja ci mówiłam...

- Wiem, wiem. Nie brać tak dużo słoików. Ale nie wiadomo, jak długo będziemy musieli nią się zajmować i chcę być przygotowany na wszystko.

- Ona nie da rady tego zjeść nawet przez kilka miesięcy - denerwowała się Grace. - Zamierzasz ukrywać ją tu tak długo? Sądzę, że policja będzie miała coś do powiedzenia na ten temat.

Sąsiednie drzwi gwałtownie się otworzyły. Wyjrzała jakaś kobieta.

- Pan Salvatore? Co tu się dzieje? Kto się tak wulgarnie wyraża?

- Dzień dobry, pani Bumgartle - powiedział Luc z uśmiechem jakby mniej urzekającym niż zwykle. - Obudziłem panią? Przepraszam.

Ku zdumieniu Grace, Luc nie oczarował tej kobiety. Zdarzyło mu się to bez wątpienia pierwszy raz. Sąsiadka poprawiła okulary zdobiące czubek jej długiego, wąskiego nosa i zapytała ponuro:

- Jest tam jakieś dziecko?

- Gdzie? - rozejrzał się Luc. - O faktycznie, to jest dziecko.

Pani Bumgartle poprawiła pasek szlafroka wciskający się w jej obszerną talię.

- Pytanie, czyje to dziecko.

- Czyje dziecko? - powtórzył Luc. - To moja bratanica. Wziąłem ją na krótko pod swoją opiekę.

- Po prostu opiekujemy się bratanicą Luca - potwierdziła Grace.

Pani Bumgartle popatrzyła na nich badawczo.

- Panie Salvatore - zwróciła się do Luca. - Nie wiem, co pan tu wyprawia, ale wygląda mi to bardzo podejrzanie,

Westchnęła głęboko, po czym trzasnąwszy drzwiami znikła w swoim mieszkaniu.

- Wspaniale, po prostu wspaniale - mruknął Luc z rozdrażnieniem. - Otwórz drzwi, Grace, zanim obudzimy wszystkich w tym budynku.

- Już, zaraz. - Podała mu dziecko i skupiła uwagę na opornym zamku. Już po chwili drzwi były otwarte.

Grace wzięła na ręce Tonię i weszła do mieszkania. Luc odepchnął nogą leżące na korytarzu słoiki i podążył za nią, wnosząc wielką torbę z rzeczami Toni i liczne plastikowe torebki.

- Zostawiłeś na zewnątrz słoiki - poinformowała go Grace.

- Sama mówiłaś, że nie potrzebujemy aż tylu przecierów owocowych. Mogą sobie leżeć aż będę miał ochotę iść po nie. - Podeszedł bardzo blisko. - Czy masz z tym jakiś problem?

- Nie mam. Ale możliwe, że to przeszkadza twojej sąsiadce.

- Później z nią porozmawiam - odparł.

- Nie możesz jej oczarować, tak jak robisz to z innymi kobietami? - zdziwiła się Grace. - Czy może tutaj kluczowym słowem jest kłamstwo.

Luc ledwie rzucił na nią okiem, gmerając w pakunkach znalazł malutki leżaczek. Zajęło mu niecałą minutę rozłożenie leżaczka i ułożenie w nim Toni.

Przeniósł małą do salonu. Grace podążyła za nim, z ciekawością rozglądając się po mieszkaniu.

- Dla pani wiadomości, panno Barnes - zwrócił się do niej Luc, z pewnym opóźnieniem odpowiadając na zarzut. - Ja nigdy nie kłamię.

- Czyżby? A ta historia, którą uraczył pan policję?

- To niemal prawda - odrzekł gładko. - Ponieważ prawdą jest, że opiekujemy się moją bratanicą. I to, że Pietro i Carina niebawem ją zabiorą. I wkrótce wezmą ślub i przejmą wszystkie obowiązki wobec dziecka.

- A co z naszymi tak zwanymi zaręczynami? Potrząsnął głową z rezygnacją.

- Zachowajmy tę szczególną część prawdy na następną dyskusję. Nie jestem dzisiaj dumny ze swojego zachowania. Myślę jednak, że to było konieczne. Nienawidzę kłamstwa i nienawidzę kłamców.

- W tym momencie wydało się Grace, że popatrzył na nią wnikliwie. - I to właśnie jest powodem, że tak dobrze mi się z tobą współpracuje - dodał nieoczekiwanie.

Twarz jej pokryła się rumieńcem. Grace próbowała sobie powiedzieć, że to tylko zakłopotanie, a nie żadne poczucie winy. Gdyby kiedykolwiek Luc dowiedział się o jej zмовie z panem Dominikiem, byłby bardzo rozgniewany. To mogłoby wszystko zmienić pomiędzy nimi. Pierwszy raz uświadomiła sobie naprawdę, jak bardzo się tego obawiała.

- Luc...

- A jeśli idzie o oczarowywanie kobiet - przerwał

- to jak już mówiłem, kocham wszystkie kobiety i dlatego łatwo mi przychodzi być dla nich czarującym. Czy widzisz w tym coś złego?

Cofnęła się nieznacznie. Podszedł do niej.

- Nic - szepnęła.

- Gdybyś... - kontynuował Luc głosem niskim, chropowatym, jakby welurowym - nie była tak lodowata i nadęta, byłbym czarujący i dla ciebie.

Chociaż tylko jedna rzecz trzymała mnie w ryzach do tej pory, jeśli idzie o ciebie.

Grace nerwowo przełknęła ślinę.

- Co było tą jedną rzeczą? - ośmieliła się zapytać.

- Twój pierścionek zaręczynowy - odrzekł. - A wiesz dlaczego? Ponieważ nie lubię podkradać innym zdobyczy.

Zrobił jeszcze krok w jej stronę i uśmiechnął się. Był to niewątpliwie grabieżczy rodzaj uśmiechu.

- Teraz jednak postanowiłem złamać zasady - powiedział.

- Nie! - Grace machnęła rękoma, starając się odsunąć go od siebie. -

Mówisz tak znowu, żeby mi dokuczyć! - krzyknęła.

Pomyślała: doprowadzasz mnie do szaleństwa, nie podchodź tak blisko, nie kuś.

- Chcesz mi dokuczyć - powtórzyła. - Bo nie jestem ładna, jak inne kobiety.

Przerwał jej bez wahania.

- Wszystkie kobiety są piękne - powiedział. - Nawet ta dziewczyna, która ukrywa się za wielkimi, ciemnymi szklami.

I zerwał jej z nosa okulary, zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować.

- Zostaw! Ja ich potrzebuję! - krzyknęła.

- Czyżby? - zapytał ironicznie.

Nie mogła się mylić, jeśli chodzi o tę ironię w jego głosie. Czy on o tym wiedział? Czy mógł się domyślać, że okulary były częścią charakterystyki?

- Tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego się ukrywałaś - mruknął zamyślony.

Nagle jego palce wślizgnęły się w jej włosy, brutalnie zrywając gumkę recepturkę. Gęste loki opadły na ramiona.

- Dlaczego kobieta tak piękna jak ty...

- Nie! Odejdź! - Próbowała wyrwać się, ale otoczył ją ramionami i nie puścił.

Ręce jego powędrowały wzdłuż jej ciała, wyczuwając prawdziwe kształty figury, ukrywane ostatnio pod obszerną, niezgrabną garderobą. Ręce dotarły do bioder.

- Dlaczego tak piękna kobieta jak ty chce chować swoją urodę? - dokończył z satysfakcją. - Bo ty świadomie to robisz. Czy Willy-William jest tego przyczyną?

- Luc, proszę - jęknęła, próbując wyslizgnąć się z uścisku.

Objął ją w pasie, przyciągając ku sobie.

- Ty, *cara mia*, jesteś oszalamiająco piękna - szepnął. - I stary, poczciwy Willy-William niechaj spada.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień 337. - ostatnie minuty dnia...

Luc nie próbował jej pocałować, choć trochę tego oczekiwała. Pogładził ją po rozpuszczonych włosach, a potem po twarzy. Nachylił się. Złote oczy płonęły pożądaniem. Były zbyt blisko. Czują, że wpada w słodką pajęczynę...

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna była pozwolić na to wszystko, co się tutaj wydarzyło. Powinna stawiać opór, bronić się przed dotykiem tego mężczyzny, przed jego urokiem. Tego powinien się on spodziewać po kobiecie związanej z innym. Nie powinna pozwolić, by Luc uwierzył, że tak łatwo potrafi zapomnieć o swoim narzeczonemu.

- Nie myśl teraz o Williamie - powiedział, jakby czytając w jej myślach. - To nie ma z nim nic wspólnego. Od dłuższego czasu istnieje coś, co łączy nas oboje, coś nieuchwytnego, ale bardzo ważnego.

- Nieprawda - zaprzeczyła.

- Tak? I nigdy nie porównywałaś moich uśmiechów i jego?

- Nigdy - stwierdziła zdecydowanie.

- I nigdy nie pomyślałaś o tym, co czujesz, gdy cię dotykam?

- Jestem z Willym szczęśliwa. Odpowiada mi pod każdym względem.

Znowu pogłaskał jej włosy. Połaskotał kciukiem podbródek, lekko dotknął perłowego kolczyka zdobiącego jej ucho.

- Ty drżysz? - szepnął.

- Jest mi zimno.

- Nieprawda, jesteś rozgrzana. I... namiętna. Aż płoniesz z pożądania.

- To makijaż. Taki kolor pudru, nie żadne pożądanie.

- Przecież nie robiłaś makijażu. A już na pewno nie używasz pudru o tak intensywnym odcieniu. Twoje oczy mają najpiękniejszy zielony kolor, jaki kiedykolwiek widziałem - szepnął. Słyszała wzruszenie w jego głosie. - Są takie promienne.

- Wcale nie są promienne. Są wrażliwe na światło i zażawione, bo zabrałaś mi okulary - wymyśliła naprędce.

Zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony.

- Zaczęłaś kłamać - powiedział. - I teraz masz problem, bo nie możesz przestać. Potrafię jednak sobie z tym poradzić, żebyś nie mówiła głupstw.

Wiedziała, co zamierza. Chciał zamknąć jej buzię pocałunkiem. A gdy to zrobił, zabrakło jej siły na dalszy opór.

- Luc, nie rób tego, proszę - błagała, próbując zatrzymać to, co było nieuniknione. - Będziesz tego żałować. Oboje będziemy żałować.

Spoważniał.

- Być może masz rację, ale pozwól mi przynajmniej dać ci jakiś powód. Na razie nie masz czego żałować.

Musnął kciukiem jej dolną wargę, a następnie gwałtownie wpił usta w jej wargi. Ich języki się spotkały, jej serce waliło jak młot. Czowała, że krew zaczęła mocno pulsować w jej żyłach.

Podniecał upajający zapach perfum, których używał. Opuszkami palców gładziła jego ciało, wyczuwając wzniesienia i wgłębienia, naprężone mięśnie. Łaskotał w uszy jego gorący oddech. Chciała jeszcze i jeszcze.

Objął ją i mocno przycisnął. Ich ciała się spotkały. Nigdy przedtem nie pomyślała, że tak świetnie do siebie pasują. Jakby byli dla siebie stworzeni.

Zarzuciła mu ręce na szyję, namiętnie oddając pocałunki.

Już od dawna nie była w męskich ramionach. Zbyt dawno. Już prawie zapomniała, jakie to cudowne. Tym razem jednak było w tym coś zupełnie innego, coś bardzo wyjątkowego. Jednocześnie odczuwała zwiększoną wrażliwość i zarazem ogromne poczucie bezpieczeństwa, lęk i rozkosz. Pokusa poddania się temu bez reszty była coraz silniejsza. Grace czuła, że chciałaby i boi się.

Jakby wyczuwając jej strach, Tonia zaczęła płakać. W samą porę, pomyślała Grace. Odsunęła ręce Luca i podeszła do małego leżaczka.

Zmieniając malutkiej pieluszkę, starała się nie patrzeć na Luca. Skierowała spojrzenie na okno, ale czysta, błyszcząca szyba odbijała go jak lustro. Widziała jego zaciśnięte dłonie, klatkę piersiową gwałtownie wznoszącą się i opadającą przy każdym oddechu. Zatem nie tylko ona tak silnie to przeżywała. Świadomość tego nie sprawiła jej ulgi. Wręcz przeciwnie: wzrósł strach. Droga, na którą wkroczyli, prowadziła ku zniszczeniu. Trzeba będzie z tym skończyć, zanim sprawy posuną się za daleko.

- Przewinę Tonię, a potem muszę lecieć do domu - oznajmiła zimnym, spokojnym głosem, wypranym z wszelkich emocji.

- Przewiń, oczywiście - powiedział Luc, podchodząc i kładąc jej ręce na ramiona. - Potem jednak nigdzie nie pójdziesz. Ani dziś wieczorem, ani jutro.

Nie odważyła się odwrócić w jego stronę. Pracowała z nim prawie rok i dobrze wiedziała, co oznacza ten sposób mówienia. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by potrafiła go przekonać, gdy zwracał się do niej tym tonem. Znowu jednak kusilo ją, by spróbować:

- Sam potrafisz zająć się Tonia. Nie jestem ci potrzebna.

Jego ręce zacisnęły się na jej ramionach. Zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Nieprawda. Obiecałaś, że zostaniesz tu do powrotu Pietra i Cariny. I zamierzam dopilnować, byś dotrzymała przyrzeczenia.

Obiecała. Tak. Jak również przyrzekła panu Dominikowi, że będzie oschła i służbowa, nie będzie się angażować. Miała wrażenie, że żadna jej przysięga nie jest warta złamanego szeląga.

- Luc... Nie będzie w porządku, jeśli zostanę. To nie jest... - szukała właściwego słowa.

- Przyzwoite - podpowiedział. - Wysoce nieprzyzwoite będzie, jeśli zostawisz mnie teraz samego. Cała moja wiedza o małych brzdącach da się określić jednym słowem: zero. Nic nie wiem o pielęgnowaniu niemowląt.

- Ja też nie jestem w tym wiele lepsza. Poza tym dużo się dzisiaj nauczyłeś. Wiesz, jak przewijać dziecko, jak karmić. Przez jedną noc na pewno sobie poradzisz.

- Możliwe, że bym sobie poradził. Ale dlaczego miałbym sam zostać z dzieckiem? Chcę, żebyś mi pomogła.

- Zatrudnij niańkę. Potrząsnął głową.

- Zbyt duże ryzyko. Nie chciałbym ponownie tłumaczyć się przed policją. Proszę cię. To tylko dzień lub dwa. Pietro i Carina wkrótce powrócą i znowu będzie jak dawniej.

Grace przytuliła dziecko, wdychając aromat olejku dla niemowląt. Nigdy już nie będzie tak jak dawniej. Pozostawała tylko nadzieja, że koniec wielkiego

łgarstwa już blisko i jakoś da się wytrzymać. Carina i Pietro powinni niedługo wrócić, zabiorą Tonię. Luc będzie zachowywał służbowy dystans. I pan Dominik nigdy się nie dowie o tej chwili słabości.

Chociaż może najważniejsze było, by po tym wszystkim jakoś potrafiła skleić swoje złamane serce.

To szaleństwo, o jakie przyprawia ją Luc, powinno jakoś się rozwiązać. Takiemu lowelasowi nie mogłaby powierzyć swojego życia. Poza tym ma przecież wielkie marzenie i obietnicę pana Dominika. I wspomnienie mamy, szyjącej słodkie, puchate maskotki. Nie, nie mogłaby pozwolić Lucowi na nic takiego, co zniszczyłoby jej plany.

- Przez całą noc nie zbliżę się do. ciebie ani razu - nieoczekiwanie odezwał się Luc. - Będziesz bezpieczna. Przysięgam.

Bezpieczna? Nieprawdopodobne. Rzuciła okiem na Tonię, na jej drobne, delikatne ramionka. I stwierdziła, że nie ma wyboru. Nie jest w stanie zostawić malutkiej. Powinna po prostu traktować Luca oficjalnie, z należytych służbowym dystansem. To da się zrobić. Wytrzymała ponad jedenaście miesięcy i przez ten czas nauczyła się przecież, jak należy z Lukiem postępować.

- W porządku. Zostaję - zgodziła się. Złote oczy spojrzały z satysfakcją.

- Możesz spać w jednym z moich podkoszulków. Możesz skorzystać z mojej szczoteczki do zębów. Przyniosę ci czysty ręcznik...

Skorzystać z jego szczoteczki? - pomyślała ze zgrozą, to niehigieniczne.

- Możesz wziąć mój szlafrok, wisi w łazience przy drzwiach - mówił Luc.

- I wiesz, co? Mam przecież pokój gościnny, nie musisz się obawiać. Czy dziecko będzie spało w nocy z tobą w pokoju, czy ze mną? - spojrzał na nią pytająco.

- Będzie spała przy mnie w nocy, a ty zajmiesz się nią jutro.

Skinął głową.

- Wspaniale.

- To jest łazienka przylegająca do pokoju gościnnego - wskazał na jasne drzwi. - Na pewno chciałabyś wziąć prysznic.

Tak, prysznic, to dobry pomysł.

I już za chwilę z radością wskoczyła pod strumień gorącej wody, relaksujący, usuwający napięcie - cudowny odpoczynek po tym męczącym dniu. Żałowała, że nie może reszty życia spędzić pod prysznicem. W końcu jednak wzięła głęboki oddech i zakręciła kurek.

Gdy wróciła do pokoju gościnnego, znalazła ułożone starannie na tapczanie: bawełniany podkoszulek i jedwabny, męski szlafrok.

Ubrała się i zaczęła szcztokować mokre włosy. Nie chciała prosić o suszarkę. Pomyślała, że źle się stało, że nie ma przy sobie szamponu koloryzującego. Spod brązowoszarych włosów wyzierały złote pasemka, to było widać. Jeszcze jedno mycie głowy i kolejny punkt jej oszustwa wyjdzie na jaw. Wzruszyła ramionami. Zastanawianie się nad tym nic nie pomoże. Nie ma wyjścia.

Luc delikatnie zapukał do drzwi.

- Czy już wyglądasz przyzwoicie? Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, wszedł z Tonią na rękę.

- Przebrałem smykusie i zaproponowałem jej butelkę mleka. Nie wyglądała na zainteresowaną. Jeśli chcesz, żeby spała z tobą w pokoju, zaraz przyniosę tu łóżeczko.

Popatrzył uważnie na Grace.

Stała zmieszana, czując przeszywające spojrzenie złotych oczu. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że znowu część łgarstwa przestała być tajemnicą. Przecież kiedy ją całował i przytulał, musiał spostrzec, że chodziła w ubraniach o trzy numery za dużych. Stojąc przed nim, ubrana w cienki podkoszulek i krótki jedwabny szlafroczek, czuła, że teraz on już nie ma wątpliwości. Teraz nie wyglądała już jak dżdżownica.

- Czy potrzebujesz jeszcze czegoś? - zapytał łagodnie.

Potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu jeszcze lekko wilgotne, długie, gęste loki.

- Chyba mam wszystko, co potrzeba. Dobranoc, Luc.

- Gdybyś miała na coś ochotę - uśmiechnął się - cokolwiek by to miało być, nie wahaj się i przychodź do mnie.

- Sama dam sobie radę - stwierdziła, rzucając mu jedno ze swych lodowatych spojrzeń.

- No to dobranoc. - Zaczynał już zamykać za sobą drzwi, gdy nagle odwrócił się. - Wiesz co, Grace?

Spojrzała pytająco.

- Bardzo dobrze radzisz sobie bez okularów. Cudowne uzdrowienie, nieprawdaż?

Wreszcie wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Grace aż jęknęła z rozpaczy. Jak mogła być taka głupia? Co on sobie o niej pomyśli? Przecież mogła powiedzieć na przykład, że jej oczy są nadwrażliwe na światło i że doktor przepisał przyciemnione okulary profilaktycznie, żeby zapobiec zapaleniu spojówek.

Westchnęła. Wciąż miała nadzieję, że coś wreszcie wybawi ją z kłopotów i że jakoś zostanie rozgrzeszona z tych kłamstw.

Spojrzała na Tonię. Szkrabiątko spało, lekko posapując. Otulona pieluszką pupa wydała się być znacznie wyżej niż reszta drobnego ciała, jakby zawieszona w powietrzu. Grace poprawiła kołderkę, a potem sama wślizgnęła się do swojego łóżka.

Położyła się na plecach i obserwowała, jak światło księżyca pada na sufit. Tak, była w mieszkaniu Luca. Właśnie spędzała tutaj noc. Jeśli pan Dominik dowie się o tym, nic nie zdoła jej uratować. Niedobrze.

Pozostawała nadzieja, że on nigdy się o tym nie dowie.

Może ważniejsze, żeby Luc nigdy się nie dowiedział, że wcale nie jest zaręczona. Przeczowała, że byłyby wtedy poważne kłopoty. Nie tylko o to

chodzi, że go oszukała. Tamten pocałunek był błędem. Poważnym błędem. Błędem, który nie powinien się powtórzyć.

Jeszcze niecałe cztery tygodnie. Wydawało się jednak, że to się nigdy nie skończy.

Obudził ją jakiś dźwięk. W świetle księżycy mogła dojrzeć tarczę zegara - dochodziła trzecia. Niemożliwe, ta noc zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Prawie nie zmrużyła oka. To oczywiście Luca wina i tego jego mieszkania. Ciągłe coś hałasowało, coś szeleściło, trzeszczała podłoga, coś stuknęło, coś upadło, wiatr świszczął za oknem. Drgała nerwowo na każdy, nawet najlżejszy szmer. Co gorsza, Tonia, jakby wyczuwając jej zdenerwowanie, spała bardzo niespokojnie. Zresztą, trzeba było przyznać, też miała bardzo męczący dzień.

Jakby w odpowiedzi na te rozmyślania, rozległ się żalostny płacz. Grace jęknęła, wygrzebała się z łóżka i podeszła do malutkiej.

Tonia leżała na plecach, obok niej skopana kołderka. Mała wierzgała nóżkami w powietrzu niby stado pędzących rumaków.

- Potrzebujesz trochę gimnastyki? - zapytała Grace.

Nie dając małej czasu na odpowiedź, wzięła ją na ręce i zaniósła do salonu. Gdzie Luc położył butelki i pieluszki? Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała, że pieluszki leżą na samym wierzchu, a butelkę z przygotowaną mieszanką znalazła w lodówce. Parę sekund w kuchence mikrofalowej i mleko osiągnęło właściwą temperaturę.

Niemowlę szybko przestało płakać. Grace wzięła je na ręce. Była zbyt zdenerwowana, by zasnąć ponownie. Usiadła przy oknie, podziwiając kolorowe neony San Francisco.

Księżyc, prawie w pełni, sączył delikatną, srebrzystą poświatę. Grace spojrzała na Tonie, na delikatną, dziecięcą skórę, lśniącą oliwką, na ogromne czarne oczka. Najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziała. Jak Carina mogła wytrzymać rozstanie z tak uroczym szkrabiątkiem? Nawet jeśli chodziło

zaledwie o kilka dni. Jak bardzo musiała być załamana, skoro podjęła taką decyzję.

Jak się czuła dwudziestoletnia studentka z programu wymiany, i zarazem samotna matka? To zrozumiałe, że nie miała odwagi stanąć twarzą w twarz przed rodzicami. Widoczne było, jak niechętnie zwracała się do Pietra o pomoc. Oczywiście, jeżeli Pietro chociaż w połowie był takim kobieciarzem jak Luc, Grace potrafiła zrozumieć tę niechęć. A jednak...

Zmarszczyła brwi. Jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie Luca porzucającego dziewczynę, którą skrzywdził, nie przejmującego się dzieckiem. Troszczył się o kobiety. Niestety, zajmowały go za bardzo wszystkie dziewczyny i nie było nadziei, by skoncentrował się na jednej. Tym bardziej że nie miała nadziei, by właśnie ona mogła okazać się tą jedyną.

Znała go już dobrze. Zrobiłby wszystko, by uniknąć takiej niezręcznej sytuacji, w jakiej znalazł się jego brat. W razie potrzeby czułby się odpowiedzialny zarówno za dziecko, jak i za matkę. Nie miała cienia wątpliwości. Ale czyż Pietro nie czuł się odpowiedzialny? Jemu też można było zaufać. Poczucie odpowiedzialności było niewątpliwie cechą charakterystyczną rodziny Salvatore.

Grace spojrzała na śpiące na jej kolanach maleństwo i jeszcze raz mocniej poczuła konieczność zapewnienia mu opieki. Bardzo przywiązała się do tego dziecka.

Potrafiła wyobrazić sobie, że ma podobne maleństwo, swoje własne. Ojca również potrafiła sobie wyobrazić.

Marzyła o mężczyźnie, który będzie miłował ją gorąco, wybierze ją spośród wielu innych kobiet, i nigdy nie porzuci. Zagryzła wargi, łzy ukazały się jej w oczach. Tym mężczyzną nie będzie Luc. Nie ma szans. Spojrzała w okno i nagle ujrzała w odbiciu szyby wchodzącego do pokoju Luca.

- Wszystko w porządku? - zapytał łagodnie.

- Całkowicie.

Opuściła głowę, by nie zauważył śladów łez. Przedtem nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pomagały przyciemnione okulary, pomagając ukryć myśli i uczucia. Zdecydowała, że znowu będzie chodzić w okularach.

- Tonia się obudziła - powiedziała. - Była mokra i głodna.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył. - Musisz odpocząć. Teraz moja kolej zająć się Tonią.

- Nie jestem zmęczona - zaprotestowała. Delikatnie musnął jej policzek.

- Wyglądasz na krańcowo wyczerpaną - upierał się.

- Co będzie, jeśli Carina nie wróci? - zapytała Grace. - Może ona naprawdę porzuciła Tonię.

Luc nie miał wątpliwości.

- Wówczas Pietro zajmie się córką.

Ciemne, gęste włosy spadały mu na czoło. W świetle księżyca tańczyły na jego twarzy wesołe cienie. Zauważyła, że pod szlafrokiem ma tylko slipki, widziała jego owłosiony tors. Z trudem zwalczyła w sobie pokusę, by zdjąć mu ten szlafrok, dotknąć brzucha.

Przymknęła oczy. Poczula, że jest naprawdę bardzo śpiąca i zmęczona. I pomyślała jeszcze, że Luc pociągał ją jak żaden inny mężczyzna.

- Luc, idź już - szepnęła.

- Pięknie wyglądasz w świetle księżyca - mruknął. - Jakbyś miała jasne pasemka we włosach.

- Iluzja. Idź już spać, Luc. Obiecałeś.

- To była wczorajsza obietnica. Nie dotyczyła dzisiejszego poranka. I przyrzekłem, że cię nie pocałuję. Nie było mowy o tym, że nie będę siedział z tobą w świetle księżyca.

- Zapominasz o moim narzeczonym - oburzyła się.

- Skądże znowu! - zaprotestował. - Ale ty chyba powinnaś o nim zapomnieć. Nie jest dość dobry dla ciebie. Bo jeśli kazał ci nosić za duże

ubrania i ściągać włosy tą ohydną gumką recepturką, to nie jest ciebie wart.

Ukrywanie piękna to grzech.

- Luc, jestem twoją asystentką. Niedługo wyjdę za mąż. Prosiłeś mnie o pomoc, więc ci pomagam. Nie wykorzystuj tego w ten sposób.

- Dobranoc - mruknął, po czym wyszedł z salonu. Nie chciała tego, ale przecież musiała tak postąpić.

Obudził ją Luc. Był znowu w pogodnym nastroju. Przyniósł jej do łóżka filiżankę kawy.

- Najpierw pojedziemy do twojego mieszkania. Potem kupimy Toni wszystko co potrzeba - powiedział. - Dzwoniłem do biura, przesunąłem wszystkie sprawy o kilka dni. Czy chcesz na śniadanie płatki z mlekiem, czy usmażyć ci jajecznicę?

- Płatki - poprosiła. - Nie lubię od samego rana patrzeć na żółty kolor.

Przygotowanie do wyjścia zajęło dużo więcej czasu, niż Grace mogła to sobie wyobrazić.

- Pieluszki? Sprawdź. Ubranka na zmianę. Więcej pieluszek...

- Zapomnieliśmy o butelce z mieszanką. Grace spojrzała na Luca z lekką irytacją.

- Przygotuj jeszcze jedną torbę. Tu już nic więcej się nie zmieści. Weź termos...

- Chodźmy już, Grace - zdecydował wreszcie Luc, z trudem dopinając kolejną torbę. - Robi się późno, a my mamy dzisiaj dużo do załatwienia.

- Nie zapomniałeś o czymś? - zaśmiała się Grace. Rozejrzał się wokół.

- W porządku. Wszystko wzięliśmy. Wychodzimy.

- Wszystko oprócz dziecka - śmiała się Grace. Pół godziny później dotarli do Bay Bridge, niewielkiego mieszkanca wynajmowanego przez Grace.

- Poczekaście w samochodzie z Tonia - zaproponowała. - Pakowanie rzeczy nie zajmie mi dużo czasu.

Ku jej rozczarowaniu Luc odpiął pasy bezpieczeństwa i wyjął z samochodu niemowlę.

- Tonia chciałaby zobaczyć twoje mieszkanie. I ja też, oczywiście. Poza tym muszę mieć pewność, że nie spakujesz żadnych ubrań Williama.

- Co takiego? - zdziwiła się. - Jakich ubrań Williama?

- Dwa numery za duże, z żurnali mody sprzed trzydziestu lat.

Nie mając wyboru, zaprosiła Luca do swego mieszkania.

- Czuj się jak u siebie w domu - powiedziała z ironią. - A ja biorę się za pakowanie.

Wyciągnęła niedużą, skórzaną walizkę.

Minutę później pojawił się w drzwiach Luc z dzieckiem na ręku. W drugim ręku trzymał dyplom. Ta jej nagroda. Trzecie miejsce w konkursie dla młodych przedsiębiorców organizowanym przez Salvatore Corporation.

Przyglądał jej się uważnie.

- Co to jest, Grace? - zapytał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzień 338. - przebranie przestaje być tajemnicą...

Grace podeszła do niego, wzięła dyplom i położyła na biurku.

- Wiesz, co to jest.

- Wiem. Ale co to ma z tobą wspólnego? Znowu zajęła się pakowaniem.

Starannie złożyła bluzkę. Włożyła do walizki.

- To chyba oczywiste - mruknęła. - Zdobyłam trzecią nagrodę w tym konkursie.

- Rok temu?

- Dlaczego o to pytasz? W czym problem? Zdobyłam trzecią nagrodę. I właśnie przy rozdawaniu nagród poznałam twojego ojca.

- I co dalej?

- I uznał to za wystarczające, żeby rekomendować mnie na stanowisko asystentki prezesa. Myślałam, że wiesz o tym.

- Nie wiedziałem.

Przyglądał jej się podejrzliwie. Znała Luca, wiedziała, że jeśli zaczyna coś podejrzewać, nie spocznie, dopóki nie dowie się prawdy. Rzecz się rozpoczęła i było dla niej oczywiste, że w końcu Luc poradzi sobie z tą łamigłówką.

- Dlaczego zostałam moją asystentką? - zapytał.

- Śmieszne pytanie. Po prostu muszę jakoś zarobić na życie, tak jak miliony innych ludzi. - Wyjęła z szafy następną bluzkę i starannie włożyła ją do walizki.

Trzeba jak najszybciej skończyć tę kłopotliwą rozmowę. - Potrzebowałam pieniędzy - dodała.

- Wszystko rozumiem - powiedział poważnie. - Ten konkurs jednak dotyczył ludzi, którzy zamierzają otworzyć własny biznes, a nie tych, którzy chcą pracować dla kogoś.

- No i co z tego? Przypatrywał jej się z uwagą.

- To znaczy, że myślisz o założeniu własnej firmy.

Pomyślała, że tym razem nie warto kłamać. Ostrożne ujawnienie kilku dalszych szczegółów wielkiego łgarstwa nie pogorszy jej sytuacji.

- Tak. Kiedyś w przyszłości chciałabym otworzyć własny biznes. Nawiasem mówiąc, praca w twoim biurze powinna być dla mnie cennym doświadczeniem.

Oparł się o framugę, kładąc Tonię wysoko na ramieniu.

- Więc jesteś zadowolona z pracy?

- Tak - odparła krótko.

Stanowczo rozmowa wkraczała na śliski teren.

- O jakim biznesie myślałaś?

Spojrzała na niego z wahaniem. Czy roześmieje się, jak mu powie?

- To będzie sklep z zabawkami. Taki dla malutkich dzieci. Każda zabawka inna. Będą robione przez miejscowych producentów, a właściwie artystów-rzemieślników, edukacyjne i bezpieczne.

Luc opuścił Tonię na dół. Uśmiech błąkał się w kąciakach jego warg.

- Widzę, że poprosiłem o pomoc właściwą osobę. Potrzyмай przez chwilę małą.

Podał jej Tonię.

Odruchowo wyciągnęła rękę, wzięła dziecko i przytuliła. Dopiero gdy Luc przykucnął koło walizki, zrozumiała swój błąd.

- Zostaw to, Luc - zawołała. - Nie masz prawa grzebać w moich rzeczach.

- Muszę sprawdzić, czy wybrałaś odpowiednie ubrania. Zobacz, to jest niepraktyczne, to się łatwo brudzi, to może się pognieść.

Zaczął wyrzucać z walizki szarobure ubrania o trzy numery za duże.

- Luc! - krzyknęła Grace tak głośno, aż Tonia się przestraszyła i wykrzywiła buzię w podkówkę.

- Jeśli wyjmiesz jeszcze choć jedną rzecz z mojej walizki, to cię zamorduję - powiedziała pół tonu ciszej.

Tym razem żałowała, że ciemne okulary zakrywają jej oczy i nie może zabić go wzrokiem.

Luc jednak nie przejął się groźbą i nawet nie spojrział w jej stronę. Nadal wyrzucał z walizki szaro-brązowe ciuchy.

- Tamte były niepraktyczne, a te są szkaradne - oznajmił. - Szkaradne! Paskudne! To niepraktyczne! A to znowu szkaradne!

Ubrania fruwały przez pokój i lądowały na łóżku.

- Co ci przeszkadza, że brzydkie? Przecież ty w tym nie chodzisz - gotowała się od bezsilnej furii.

Błysnęły wesołe iskierki w złotych oczach.

- Nie chodzę, ale będę zmuszony to oglądać. I pomyśl przy tym o Toni. Wypaczysz dziecku gust i potem będzie cierpieć przez całe życie.

- To śmieszne - odrzekła.

- A chcesz się założyć? Nawet ja, gdy na ciebie patrzę, zaczynam wierzyć, że brązowy to elegancki kolor. Czy chcesz, żebym wypaczył sobie gust?

Opróżniwszy walizkę, podszedł do szafy.

Rozejrzała się, gdzie by tu bezpiecznie położyć dziecko, gotowa nawet użyć siły, aby tylko nie dopuścić go do szafy.

- Co robisz?! - krzyknęła. - Odejdź stąd.

- Co my tu mamy? - zainteresował się zieloną sukienką, którą kupiła z myślą o świętach. - Ta jest dużo lepsza. Dlaczego w niej nie chodzisz? A może nie przy mnie. Czy wkładasz tę sukienkę, kiedy spotykasz się z Williamem?

- Willy bardzo mnie lubi w tej sukience - wyjaśniła, zła na siebie, że mówi takie rzeczy.

- Nie dziwię mu się. Przy nim ubierasz się ładnie, a przy innych chodzisz w tych szkaradztwach, w których wyglądasz jak dżdżownica. To jakiś niezdrowy związek z tym Williamem - domyślił się.

- Mój związek z Willym to moja prywatna sprawa - stwierdziła. Dziewięć razy na dziesięć nie udawało jej się wymówić imienia Willy'ego bez zajknięcia.

- Nie wiadomo, czy niebawem nie będzie to również moja prywatna sprawa. Daj mi tylko trochę czasu.

Spojrzała przestraszona. Co on miał na myśli? A cóż on może kiedykolwiek mieć wspólnego z Willym? Z każdą minutą sprawy komplikowały się coraz bardziej.

Przejrzawszy starannie zawartość szafy, wybrał nie związane z wielkim łągarstwem jasnoróżowe pumpki, czarne elastyki, beżowy sweterek z miękkiej wełny...

Po chwili zastanowienia dołożył zupełnie niepraktyczną białą sukienkę z bolerkiem.

Nic nie mogła zrobić, żeby go powstrzymać. Przytuliła Tonię do piersi.

- Mam nadzieję, że to wszystko. Musimy już iść.

- Nie. Gdzie trzymasz kosmetyki? - podszedł do toaletki. - Właściwie nie musisz mówić. Poradzę sobie.

Przetrzasał buteleczki, tubki i flakoniki z wprawą, która mogła pochodzić jedynie z dużego doświadczenia. Ten fakt nie umknął jej uwagi. Oczywiście, on znał się na kobietach. Na wszystkim, co się z nimi wiązało. Zatem mogła oczekiwać, że i w sprawach seksu okaże się ekspertem.

- Obrzydliwe kolory - mruknął zdegustowany.

- Żaden nie pasuje do twojego typu urody. Oprócz... - spojrzał na nią z zaskoczeniem. - O co tu chodzi, Grace?

Poprawiła okulary, mocniej przycisnęła Tonię do piersi, zasłaniając się dzieckiem jak tarczą.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - oznajmiła. Oboje wiedzieli, że kłamię.

- Nie rozumiesz? - uśmiechnął się sardonicznie.

- Dwa różne zestawy ubrań. Dwa różne zestawy kosmetyków. I co? Nie wyjaśnisz mi tego?

- Nie wyjaśnię.

Złote oczy błysnęły groźnie.

- Nie musisz wyjaśniać... na razie. Spojrzał jej prosto w oczy. - Nadejdzie dzień, w którym będziesz musiała to wyjaśnić. Jasne?

- Jasne - cofnęła się.

- To dobrze. Biorę do domu zupełnie inną, nową, ładną Grace - powiedział. - Z tamtą przebywałem w pracy dostatecznie długo.

Zapiął skórzaną walizkę.

- Zaraz jedziemy do sklepu z zabawkami. Weź prysznic, przebierz się. Ja i Tonia poczekamy na dole - zakomenderował.

Nie ośmieliła się wyrzec ani jednego słowa. Nie nalegał na wyjaśnienia, doceniła to w pełni. Nie miała jednak wątpliwości, że w pewnej chwili każe sobie wszystko wytłumaczyć. Przygryzła dolną wargę. Co odpowiedziałaby, gdyby teraz nalegał? Przemknęło jej przez myśl, że wówczas nie pozostałoby nic innego, niż przyznać się do zawartej z Dominikiem Salvatore umowy.

Rok temu, gdy rozmawiała z Domem, wszystko wydawało się proste i nieszkodliwe. Ale teraz... Luc nie zareagowałby dobrze, gdyby się o tym dowiedział. Tak czy inaczej jego szanse odkrycia prawdy rosły coraz bardziej. Rok temu wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne.

Grace zrzuciła brudne ubrania i wskoczyła pod prysznic. Następnie przyszła kolej na decyzję, czy ubrać się jak do pracy. Owinięta w mokry ręcznik stała przed szafą trzęsąc się z zimna i rozważała wszystkie możliwości. Zestaw biurowy wygrał. Sama nie wiedziała, czy był to odruch przekory, czy pewne poczucie bezpieczeństwa, jakie mimo wszystko dawały jej te ciuchy.

Wybrała za duży, niezgrabny, wełniany kostium. Wysuszyła włosy i ponownie ściągnęła je gumką recepturką w ciasny węzeł. Najgorsze, że skończyła się farba do włosów.

Gdy pokazała się Lucowi, nie skomentował jej biurowego wyglądu, choć w złotych oczach błysnęły iskierki rozbawienia. Uruchoił samochód...

Po paru godzinach i po... kilkunastu koszykach wypełnionych po brzegi zabawkami i wszystkim, co Toni mogło się okazać potrzebne, Grace odważyła się powiedzieć:

- Luc, to już przesada. Tonia w ciągu całego swojego dzieciństwa nie da rady użyć nawet jednej setnej tego, co kupiłeś. To już tylko marnowanie pieniędzy.

- Nie przejmuj się - odparł Luc, wrzucając do koszyka pół tuzina kolorowych grzechotek. - Wszystko, co nie przyda się dziecku ani Garinie, będziemy mogli komuś podarować. Zrelaksuj się. Co ci kupić? Baw się tak dobrze jak ja.

- Tak, ale...

- Więc ani słowa sprzeciwu. Podeszedł do niej, znowu zbyt blisko.

- Zmęczony jestem tą Grace z biura. Zapomnijmy o niej, niech teraz przyjdzie ta druga Grace i niech się dobrze bawi. Ta w zielonej sukience, w obcisłych spodniach, miękkich wełnianych sweterkach. Chciałbym poznać tę nową Grace.

Potrząsnęła głową. Była pozbawiona własnej osobowości, ciągle jeszcze nie mogła być sobą. Tak bardzo uwikłała się w kłamstwa, jego miłe, życzliwe słowa nie mogły doprowadzić do niczego dobrego.

Nawet nie miała odwagi pomyśleć, co by było... Ku jej uldze, Tonia właśnie w tym momencie zdecydowała się przerwać ich rozmowę.

Skończywszy drzemkę, zaczęła popłakiwać i skarżyć się na coś załośnie.

- Czas na butelkę, młoda damo - powiedziała Grace. - Podaj mi torbę z pieluszkami, Luc. Nakarmię i przebiorę TONIĘ, a ty stań w kolejce do kasy.

- Powinni mieć na zapleczu kuchenkę mikrofalową. Podgrzeję mleko - zaoferował się Luc.

Po chwili wrócił z ciepłą butelką. I niedługo potem torby z zakupami spoczywały w bagażniku, a Tonia, najedzona i zadowolona, spała w samochodzie.

Grace, zapinając pasy bezpieczeństwa, westchnęła.

- Powinnam odpocząć. Niedługo muszę wracać do pracy - zażartowała.

- Odpoczniesz po południu - stwierdził. - Zaprosiłem na obiad moich czterech braci, będziesz mogła zrelaksować się, a oni zajmą się TONIĄ.

- Powiedziałeś im o dziecku? - zdziwiła się. Uruchomił silnik. Powoli wyjeżdżali z parkingu.

- Chcę im sprawić niespodziankę - zaśmiał się. - W ten sposób mogę wymusić na nich, by trzymali rzecz w tajemnicy aż do powrotu Pietra i Cariny.

- Czy zawsze twoi bracia robią to, co im każesz? Skinął głową.

- Dość wcześnie odkryli, że im się to opłaca.

- Dlatego, że jesteś najstarszy? Uśmiechnął się.

- Tak. I dlatego że jestem szefem i kontroluję budżet rodzinny.

- Grasz pierwsze skrzypce?

- Myślę, że ta metafora trafnie oddaje obraz sytuacji.

Przygryzła wargi. Kto tu grał pierwsze skrzypce? Kto obiecał pieniądze na Misie z Dziecięcych Marzeń?

- Grace, ktoś dzwoni do drzwi. Czy mogłabyś się tym zająć? - zawołał Luc.

Czterej bracia, jego i oczywiście Pietra, stali w drzwiach, żywo dyskutując.

- Stawiam dziesięć dolarów, że to dobra wiadomość.

- Dwadzieścia do jednego, że on się zareczył.

- Idę o zakład, że nie. Nie Luc. Stawiam dwadzieścia pięć dolarów, że nie masz racji.

Otworzyły się sąsiednie drzwi i pani Bumgartle obrzuciła ich wścibskim spojrzeniem.

- Co tu się dzieje? Kto tu uprawia hazard?

- Dzień dobry, pani Bumgartle - zawołali uprzejmym chórem.

- Hazard jest w Kalifornii zabroniony - rzekła opryskliwie pani Bumgartle. - Będę zmuszona zawiadomić administrację osiedla.

- To tylko takie przyjacielskie zakłady - zapewnił ją Alessandro. - Próbujemy zgadnąć, co wymyślił nasz brat.

- Na pewno nic dobrego, chuligani - warknęła sąsiadka, zatrzasnąwszy drzwi.

Grace lekko odchrząknęła.

- Czy szanowni panowie raczą wejść do środka?

- Witaj, Grace. Czy wydarzyło się coś szczególnego?

- Tylko nie bujaj.

- Nie męczcie jej - rzekł Rocco, mrugając porozumiewawczo do braci.

Pocałował Grace w policzek i zapytał szeptem:

- Czy jest tu ktoś jeszcze oprócz nas?

- Antonia - odpowiedziała Grace.

- Antonia? - Rocco zmarszczył czoło. - Czy jest ładna?

- Przepiękna. Krótkie ciemne włosy, wielkie brązowe oczy, uśmiech, któremu nie sposób się oprzeć.

- I co jeszcze?

- Malutkie, urocze dołeczki we wszystkich czterech policzkach.

Bracia spojrzeli na nią zaskoczeni, próbując się uśmiechnąć.

Zaprosiła ich do salonu.

- Napijcie się czegoś? - zapytała.

- Chodź, Grace - błagał Stef. - Powiedz, co jest grane.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę powiedzieć. Poza tym to opowieść Luca.

- Dokładniej mówiąc: opowieść Pietra - sprostował Luc, pojawiwszy się w drzwiach.

Bracia zamilkli. W absolutnej ciszy przyglądali się niemowlęciu, które Luc trzymał na ręku. Alessandro ochłonął pierwszy.

- Sądzę, że to jest Antonia od czterech dołeczków.

- Czy... to twoje dziecko? - pytał Rocco z niedowierzaniem.

- Pietra - powtórzył Luc.

- Już wiem! - zawołał Marc. - Pietra i tej... zaraz, zaraz, jak jej na imię?

Taka niewysoka dziewczyna, studentka z programu wymiany. Pietro za nią szalał. Już wiem! Carina! - potrząsnął głową, nie czekając na potwierdzenie. - Domyślam się, że jej starzy nie byli zachwyceni tym drobnym wypadkiem.

- Znalesz Carinę? - zapytała zdziwiona Grace.

- Kiedyś ją widziałem - przyznał Marc. - Bardzo krótko. Pietro był piekielnie zazdrosny.

- Chłopaki, robimy obiad - zarządził Luc.

I już po chwili pięciu braci krzątało się w kuchni i pracowało jak bardzo zgrany zespół kucharzy, przygotowując obiad. Grace przyglądała się temu z zachwytem. Każdy miał wyznaczone zadanie, określone obowiązki, czasami tylko pytali ją, gdzie jest sól albo łyżka wazowa.

- Za dwadzieścia minut obiad będzie gotowy - oznajmił Luc. - Marc, nakrywaj do stołu. - Następnie zwrócił się do Grace: - A ty, moja piękna, przebierz się w coś bardziej odświętnego. Dzisiaj mam ochotę świętować.

Cztery pary oczu, szeroko otwartych ze zdumienia, skierowały się w stronę Grace.

Poczuła, że płoną jej policzki. Już za chwilę przebranie przestanie być tajemnicą dla kolejnych czterech członków rodziny Salvatore.

Widząc reakcję braci, Luc wyjaśnił:

- Willy-William, narzeczony Grace, kazał jej tak się ubierać, że wyglądała jak dżdżownica. Z pewnych powodów chciał, żeby była brzydka. I zmuszał ją, żeby chodziła w tym przebraniu. Jeszcze nie znam tych powodów, ale to tylko kwestia czasu.

- Przebranie? - zainteresował się Stef. - Jak na filmie.

Bracia spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Rocco gwałtownym ruchem ściągnął jej okulary. Alessandro zerwał gumkę z włosów, wyzwalając gęste, piękne loki.

- To nie fair - zaprotestowała. - Przestańcie.

Ze spojrzenia, jakie rzucił na nią Marc, wywnioskowała, że on wie, co ukrywa się pod niezgrabnym, wełnianym kostiumem.

Luc też wiedział.

- Włóż tę zieloną sukienkę - zażądał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nadal dzień 338. i oszustwo prawie wyszło na jaw...

Piętnaście z owych dwudziestu minut Grace poświęciła na zastanawianie się, czy powinna włożyć zieloną sukienkę. Jak zareaguje pan Dominik, gdy się dowie, że była w mieszkaniu Luca? Czy bracia Luca wiedzą, że spędziła tutaj noc? Jeśli tak, Dominik Salvatore łatwo może dowiedzieć się tego od nich. Trudno, żeby prosiła ich o zachowanie tajemnicy. Bo jaki w końcu miałyby im podać powód?

Usiadła na łóżku. Tak, sytuacja zanadto zaczęła się komplikować. Może faktycznie powinna zrezygnować z przebrania. To chyba byłoby uczciwsze

wobec pana Dominika. Po prostu powie mu o wszystkim i będzie się modlić, żeby to zrozumiał. Przecież jej wina polega tylko na tym, że starała się pomóc jego rodzinie.

Oprócz tego, raczej przypadkowego, pocałunku, jej stosunki z Lukiem pozostawały czysto służbowe do czasu, gdy pojawiła się w ich życiu Tonia. Nie ma w tym winy Grace, że Pietro i Carina zdecydowali się zostawić Tonie właśnie w biurze Luca. I co powinna była zrobić? Odmówić pomocy?

Porzucając te bezowocne rozmyślania, Grace niechętnie wyjęła z szafy zieloną sukienkę. Kupiła ją w zeszłym miesiącu z myślą o świętach, które planowała spędzić w domu, a trochę, żeby uczcić sukces, który wtedy wydawał się bliski - rok pracy w Salvatore Corporation.

Nie pozwalając już sobie na dalsze rozmyślania, włożyła sukienkę. Do tego naszyjnik i kolczyki, które dostała od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

I jeszcze makijaż, dawno tego nie robiła. Wyszczotkowała starannie włosy. Rozpuszczone, błyszcząły w świetle dnia jak jasny bursztyn. Brązowe pasemka, ślady farby, jeszcze dodawały im uroku. Grace uważnie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Tak, teraz wyglądała naprawdę atrakcyjnie. Znowu taka jak przed rokiem.

Włożywszy pantofle, skierowała się do jadalni, skąd dobiegały ją męskie głosy.

Luc zauważył ją pierwszy. Ku jej rozczarowaniu nie wydał się zaskoczony tą przemianą. Spokojnie poprawił dziecku koszulkę. Potem jednak uśmiechnął się z satysfakcją. Może wiedział już przedtem, że naprawdę wygląda właśnie tak. Było to wysoce niepokojące.

Rocco zauważył ją jako następny. Mówił coś właśnie. Urwał w połowie zdania i już nie dokończył. Rozmowa ucichła.

Chwilę później otoczyło ją czterech wysokich, przystojnych mężczyzn.

- Grace!

- Coś ty z sobą robiła przedtem, że nie wyglądałaś tak jak teraz?
- Wyjdź za mnie! - z uśmiechem pełnym uznania wołał Marc.
- Luc, ty ją ukrywałeś naumyślnie. To nie fair - powiedział z wyrzutem

Alessandro.

Luc wzruszył ramionami.

- Mówiłem już wam, że to wina jej narzeczonego. Marc zmarszczył brwi.
- Ten twój narzeczony kazał ci się tak ubierać, że wyglądałaś jak...
- Dżdżownica - podpowiedział Luc.
- Dlaczego tak się ubierałaś? - dziwili się bracia.
- To miało uchronić mnie przed moim szefem - wyjaśniła Grace, starając

się opanować drżenie głosu.

- Uchronić cię przed Lukiem? - zapytał Rocco z oburzeniem.

- Okazało się skuteczne, nieprawdaż? - zaśmiała się Grace.

Ten żart rozładował sytuację. Bracia zaczęli się śmiać.

Zerknąwszy na Luca, Grace na wszelki wypadek postanowiła zmienić temat rozmowy.

- I co myślicie o waszej bratanicy? - zapytała.

- Fantastyczna - cmoknął z zachwytem Rocco.

- Czy wiesz już, kiedy wróci Pietro? - pytał Alessandro.

- Powinien być tu niedługo - odparł Luc. - Dam znać, gdy się pojawi. Do tego czasu Grace będzie mi pomagać.

- Grace, czy mieszkasz teraz tutaj? - Marc uśmiechnął się znacząco.

Spojrzała niespokojnie na Luca, po czym skinęła głową.

Zbyt dużo się wydarzyło, by można utrzymać wszystko w tajemnicy przed panem Dominikiem. Prawdopodobnie jednak potrafi jakoś mu to wytłumaczyć. Jeżeli nadal będzie traktować Luca chłodno i oficjalnie, pan Dominik powinien to zrozumieć. Tyle że trzymanie Luca na dystans i opieranie się urokowi jego ciała stawało się coraz trudniejsze. Tym bardziej że przebranie nie

mogło już pomóc. Na wszelki wypadek warto przypomnieć Lucowi o tym, że jest zaręczona.

- Tak - potwierdziła. - Zajmuję pokój gościnny i aż do powrotu Pietra i Cariny będę pomagać Lucowi. Co mi właśnie przypomina... - Podniosła się z krzesła i spojrzała pytająco na Luca. – Czy mogłabym skorzystać z telefonu? Muszę zadzwonić do Willy'ego i odwołać spotkanie.

- Oczywiście, moja droga. Przekaż mu ode mnie pozdrowienia - odparł z lekkim rozbawieniem w głosie.

Wychodząc z pokoju, słyszała, jak bracia gwałtownie wypytują Luca na temat Willy'ego. Nie miała wątpliwości, że mówili właśnie o tym. Wypowiadali się krytycznie na jego temat, łatwo wywnioskowała to z brzmienia głosów. Nieważne, jeszcze tylko parę tygodni i koniec z kłamstwami.

Siadła przy telefonie w pokoju Luca i szybko wykręciła numer swojego mieszkania. Przez dobrych kilka minut konwersowała ze swoją automatyczną sekretarką, udając, że rozmawia z wyimaginowanym Willym.

Luc pojawił się w drzwiach, gdy już kończyła rozmowę.

- I jak tam Willy-William? - zapytał.

- Niezadowolony i czeka niecierpliwie aż sytuacja się unormuje - gładko skłamała Grace.

- I pozwala, żebyś tutaj została? - dopytywał się Luc.

- A czemu nie?

- Gdybyś była moją narzeczoną, nie pozwoliłbym ci na spędzenie nawet pięciu minut z obcym facetem, nie mówiąc już o całej nocy.

- Ale nie jesteś moim narzeczoną - rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Żaden mężczyzna nie będzie mi mówił, co mi wolno. Sama decyduję o swoich sprawach.

- I zdecydowałaś, że zostaniesz ze mną - zaśmiał się.

- Z Tonią - poprawiła.

- Czy wiesz, jak pięknie dzisiaj wyglądasz? - otoczył ją ramieniem.

Znajdował się tak blisko.

- Dziękuję za komplement - wykrztusiła ze ściśniętym gardłem. - Myślę, że powinniśmy już dołączyć do reszty.

- Denerwujesz się, *cara*?

- Ani trochę - zaprotestowała. Zastanawiała się, czy udałoby się ominąć Luca i szybko dopaść drzwi.

- Poza tym jestem zaręczona - dodała - i sędzę, że nie powinniśmy prowadzić takich rozmów.

- Jakich rozmów? - udał zdziwionego. - Po prostu stwierdziłem fakt, że jesteś piękna. A może przeszkadza ci, że jesteśmy tak blisko i tylko we dwoje?

Próbowała uspokoić przyspieszony oddech.

- Luc...

- Wiesz, tak długo pracowaliśmy blisko siebie. I jakoś nie mogę sobie przypomnieć, czy cię to podniecało. - Podszedł jeszcze bliżej nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Zadrzała, złote oczy zdawały się ją hipnotyzować. - Więc jak, podnieca cię to czy nie? - domagał się odpowiedzi.

- Nie! - zaprzeczyła zdecydowanie.

- Kłamiesz - stwierdził spokojnie. - Poznaję po oczach. Twoje jasne i szczere zielone oczy zmieniają kolor, gdy kłamiesz. Stają się wtedy jak zachmurzone niebo w czasie burzy. To dlatego chodziłaś w okularach - domyślił się. - Ciekaw jestem, ile kłamstw ukryły te ciemne szkła.

- Luc, proszę - szepnęła.

- To ja chciałbym cię prosić - słyszała wibrujący wzruszeniem głęboki ton jego głosu, ale nawet nie chciała o tym myśleć.

- To wszystko jest wystarczająco trudne - powiedziała cicho. - Luc, nie czynimy tego jeszcze gorszym.

- Gorszym? - zdziwił się. - Wszystko zmieni się na lepsze. Tylko daj mi szansę.

Kusił, nęcił, wabił. Niełatwo było temu się oprzeć. Przymknęła oczy. Napłynęły wspomnienia. Ścinki koronek, pluszu, kolorowe wstążki, matka szyjąca zabawki dla dzieci. Potrząsnęła głową. Nie może zdradzić pamięci matki, poświęcić ich wspólnych planów dla krótkiej przyjemności, przelotnego romansu z tym mężczyzną.

- Nie - szepnęła, otwierając oczy. - Daj mi spokój, Luc, proszę cię o to.

Przez dłuższą chwilę stał nic nie mówiąc. Rzucił okiem na lśniący na jej palcu pierścionek zaręczynowy. Nagle uśmiech rozjaśnił jego twarz. Coś wymyślił? Czy też coś sobie przypomniał?

- Wiesz co - powiedział - idź tam już do nich. Ja jeszcze muszę zatelefonować. Za chwilę do was dołączę.

Coś zaniepokoiło Grace w wyrazie jego twarzy. Zawahała się.

- Coś jeszcze? - zapytał, biorąc słuchawkę do ręki. Potrząsnęła głową.

Jego braci znalazła w przedpokoju. Szykowali się już do wyjścia. Mieli na sobie palta. Jeszcze bawili się z malutką, czekając na Luca.

- Na nas już czas - powiedział Alessandro na widok Grace.

Wzięła od niego dziecko.

- Zobaczcie - zawołał Marc - uśmiechnęła się do mnie.

- Co z tego? - wyśmiał go Rocco. - Do mnie uśmiechała się przez cały wieczór.

- Tylko dlatego, że pomyliła ciebie ze mną. Luc pojawił się wreszcie wśród nich.

- Cicho bądźcie - nakazał. - I pamiętajcie: nikt nie może wiedzieć, że Tonia jest tutaj. Nie mam ochoty znowu mieć policji na karku. Nie możemy ryzykować.

- Załatwione!

- Nie ma sprawy - zapewnił go Alessandro. - O, dzień dobry, pani Bumgartle - zwrócił się do sąsiadki, która wyjrzała przez uchylone drzwi. - Droga pani sąsiadko, czyżbyśmy znowu byli za głośno?

- Tym razem zawiadomię administrację osiedla. Pora skończyć z tym chuligaństwem - zagroziła.

- Przepraszamy panią. - Luc zbliżył się do jej drzwi. - Moi bracia właśnie wychodzą i teraz już będziemy naprawdę cicho. Prawda, chłopaki? - zwrócił się do braci.

- Najwyższy czas skończyć z tym chuligaństwem - powtórzyła sąsiadka, po czym głośno zatrzasnęła drzwi.

- Cha, cha, lubię tę kobietę - zaśmiał się Marc.

- Jedyna, której Luc nie zdołał oczarować. Zupełnie odporna na jego urok.

- Ona nie jest jedyna - sprostował Stef. - Zapominasz o Cynthii. Wysoka, przepiękna brunetka. Jak sople lodu, absolutnie obojętna na Luca.

Rocco poklepał Luca po plecach.

- Nie martw się, starszy bracie. Dwie na milion. To nie powinno źle świadczyć o tobie.

- Do widzenia, moi drodzy. Dam znać, jak tylko Pietro się odezwie. Odprowadził braci do windy.

- Myślę, że dosyć wrażeń na dzisiaj. Czas do łóżka, malutka. - Grace przytuliła trzymane na ręku dziecko i skierowała się do wnętrza mieszkania.

Wścibska sąsiadka ponownie uchyliła drzwi.

- Dobranoc, pani Bumgartle - zawołał Luc w jej stronę.

Znowu głośne trzaśnięcie drzwiami.

- Czy nie powinniśmy z nią porozmawiać? - zapytała Grace. - Nie chciałabym, żeby wyciągnęła błędne wnioski z wczorajszych wydarzeń.

Luc potrząsnął głową.

- Nie da rady. Ona zawsze zachowuje się w ten sposób.

Grace usiadła w salonie przy oknie.

- Może jednak... - zaczęła.

- Nie myśl o pani Bumgartle. - Powoli i bardzo delikatnie ramiona Luca otoczyły ją i dziecko opiekuńczym gestem.

Spojrzała na szybę, jak lustro odbijającą ich obraz. Byliby naprawdę ładną rodziną.

- Powiedz mi, Grace - rzekł, dotykając jej włosów - czy może mi się wydaje, czy też twoje włosy zjaśniały?

- Wydaje ci się. Może tak wyglądają w tym oświetleniu - mruknęła przytłumionym głosem.

- Znowu kłamiesz, Grace. Powiedz prawdę, dlaczego farbujesz włosy? Wzruszyła ramionami.

- Kobietom często się zdarza, że farbują włosy.

- I piękny bursztynowy kolor zmieniają na szarobrazowy - skomentował. - No tak, wszystko rozumiem.

- Pójdę położyć Tonię - zaproponowała cicho.

Wyślizgnęła się z jego uścisku. Nie mogła jednak odejść, gdyż trzymał, zaciskając dłoń, jeden z jej jasnych loków.

- Pomogę ci - powiedział, uwalniając jej włosy.

Wiedziała z doświadczenia, że nie warto z nim dyskutować, gdy mówił takim tonem. Przeszli do pokoju gościnnego, który teraz był raczej pokojem dzieciennym. Z drewnianym łóżeczkiem, które przyniesiono im ze sklepu, z wysokim stołem do przewijania niemowląt. Nad łóżeczkiem kołysały się kolorowe kaczuszki, na kołderce leżały grzechotki, gryzaczki, piszczący słonik.

Grace położyła malutką na wysokim stole i zaczęła szykować ją do snu.

- Może będziesz spała w moim pokoju? - nieoczekiwanie zaproponował Luc.

Podniosła na niego oczy, kłując się z wrażenia agraftką.

- Oj, zobacz, to przez ciebie - pokazała mu skaleczony palec.

- Czy chcesz, żebym cię pocałował? - Luc uśmiechnął się lekko.

- Nie ma mowy! - Zrobiła sobie prowizoryczny opatrunek, wykorzystując środki kosmetyczne niemowlęcia. - I wyjaśnijmy to sobie - powiedziała. - Moje

„nie ma mowy" dotyczy obu propozycji. Nie zamierzam przychodzić do ciebie do łóżka. Jak wiesz, jestem zaręczona...

- Nie musisz mi o tym przypominać - przerwał.

- Wcale nie prosiłem, żebyś poszła ze mną do łóżka, tylko oferowałem ci...

- Nic z tego - skwitowała, układając Tonię w łóżeczku.

- Nie prosiłem, tylko oferowałem - wyjaśniał Luc - moje łóżko. Możesz spać u mnie w pokoju. Dzisiaj jest moja kolej wstawania do dziecka. O wiele lepiej będzie, jeśli położysz się w moim łóżku, niż żebyśmy mieli przenosić ten cały majdan do mojego pokoju.

- Nie przejmuj się. Tej nocy Tonia może być ze mną - zaproponowała Grace.

- Nie mogę się na to zgodzić - stwierdził Luc, gasząc światło w pokoju gościnnym.

Tonia zamknęła oczki i grzecznie zasnęła.

- Luc...

- Czy chcesz się kłócić ze mną, kto tej nocy będzie czuwał nad Tonią? - zdziwił się Luc.

Wziął Grace za rękę i razem wyszli z pokoju gościnnego. Usiedli w salonie na sofie.

- Może teraz porozmawiamy o powodach, dla których robiłaś tę teatralną charakteryzację - zaproponował Luc nie uwalniając jej ręki. - Ukrywałaś się pod tym przebraniem prawie cały rok...

- Może lepiej porozmawiajmy o pogodzie - zasugerowała Grace, odsuwając się w odległą stronę sofy.

- To zawsze miły, bezpieczny temat.

- Tak, pogoda bywa bardzo interesującym tematem - przyznał Luc. - Na przykład teraz czuję napływającą falę gorącego powietrza. A jak z tobą?

Przysunął się i objął ją czule. Próbowwała go odsunąć, odepchnąć. Świadoma, że znacznie chętniej odwzajemniłaby ten uścisk.

- Luc, przestań. To nie jest scena z romansu z lat czterdziestych.

- Masz rację. To nie jest scena z romansu z lat czterdziestych.

Zgasił lampkę. Pokój pogrążył się w ciemnościach. Przez okno padało światło księżyca, skapało ich w srebrzystej poświacie. Luc objął ją czule i szepnął:

- Teraz dopiero jest to scena z romansu. Czują, że traci oddech. On był tak blisko.

- A ja myślałam, że możemy bezpiecznie porozmawiać o pogodzie - mruknęła z dezaprobatą.

- Nie musimy przy tym rozmawiać.

- Nie, Luc. Nie to miałam na myśli.

- Sądzę, że właśnie to miałaś na myśli. I jeszcze jedno... Wiesz co?

Nie odpowiedziała.

Dotknął jej włosów. Jego palce błądziły wśród jasnych loków.

- Sądzę, że znam powód, dla którego farbowałaś włosy na brudnoszary kolor i nosiłaś ciuchy o trzy numery za duże - powiedział.

Drgnęła przestraszona. Jak mógł się tego dowiedzieć? Nie, to niemożliwe.

- Nonsens - mruknęła.

- Ten sam powód, dla którego nosisz ten pierścionek.

- Jesteś szalony - szepnęła.

- Tak? - otoczył ją ramieniem. - W takim razie zaszalejmy razem.

Nie powiedział nic więcej. Przywarł wargami do jej ust. Od razu zorientowała się, że jej reakcja na ten pierwszy pocałunek nie była właściwa. Jakby ktoś otworzył główny przełącznik mocy. Jej zmysły odbierały bodźce z niezwykłą siłą, która zmiatała wszystkie opory, wszystkie myśli, pozostawiając tylko namiętne pożądanie.

Ten pocałunek skradł jej oddech, jej wolę. Mało brakowało, żeby głośno jęknęła. Smakował wspaniale, jak najlepszy szampan. Jeden mały łyk zawładnął jej podniebieniem na zawsze. Już nigdy nie będzie usatysfakcjonowana żadnym, oprócz tego najlepszego. A Luc był właśnie tym najwspanialszym.

Przerwał pocałunek, przysunął się jeszcze bliżej, jego ciężar wcisnął ją głęboko w miękkie oparcie sofy. Jego ciało przylgnęło do niej. Spojrzała na niego, pragnąc, by całował ją jeszcze i jeszcze, niezdolna, by o to poprosić, obawiając się słów i pragnienia, które mogły wyrazić. Jego gęste włosy spadały mu na czoło, oczy nie były już złote, lecz raczej jak dwa gorejące węgle.

- Jesteś ze mną bezpieczna - mruknął. Wiedziała, że odczuwał zarówno jej lęk, jak i to ogromne pożądanie. - Nie zrobię ci krzywdy, Grace, zaufaj mi.

Pocałował znowu. Zbliżyła do niego głowę, eksponując linię szyi. Jego wargi powędrowały na dół, do szyi, do dekoltu, delikatnie pokrył ustami jej sutek. Jego pieszczoty rozpałały w niej ogień, płomień, który prowadził do tak słodkiej ekstazy, jakiej nie doświadczyła nigdy przedtem.

- Chodź do mojego łóżka - przynaglił. - Pokaż mi, jak dobrze może być pomiędzy nami.

Pragnęła tego. O rety, jak bardzo. Ale to byłoby złe z tak wielu powodów.

Jego wargi znowu odnalazły jej usta, dręcząc je serią krótkich pocałunków, aż wszystko, o czym była w stanie myśleć, było desperackim wołaniem o jeszcze. O Boże, on był w tym doskonały. Całował z dużą wprawą. A to znaczyło...

- Luc... - Zmusiła się, by powiedzieć: - To nie jest w porządku. Nie powinniśmy tego robić.

Zaśmiał się z niekłamaną radością. Jego śmiech był ciepły, urokliwy.

- Oczywiście, że powinniśmy to robić. Marzyłem o tym przez całe życie. A ty nie marzyłaś?

Zamiast odpowiedzieć mu na pytanie, zadała własne:

- Jeśli to jest to, o czym przez całe życie marzyłeś, dlaczego nie spróbowałaś wcześniej?

Zawahał się, a potem lekko wzruszył ramionami.

- Przedtem istniały takie... hm... obiektywne przeszkody.

O ile wiedziała, większość tych przeszkód ciągle jeszcze pozostawała aktualna. O czym on mówi? Czyżby mógł podejrzewać, że jej zaręczyny z Willym były tylko wymysłem? W każdym razie nie miał na to żadnych dowodów. Oczywiście nie mógł nic wiedzieć o jej umowie z Dominikiem Salvatore, jednak ich zależność służbowa powinna być dostatecznym powodem, by nie rzucała się na niego bez opamiętania.

- I teraz już nie ma tych przeszkód? - zapytała.

Popatrzył na nią uważnie.

- Sama to powiedziałaś.

Nie ośmieliła się wspomnieć o Williamie, a głupotą byłoby mówić o umowie z jego ojcem.

- A co z moją pracą? - zapytała.

- Z pracą? - zdziwił się.

- Co potem? Co potem będzie z moją pracą? Odsunął się lekko i zmarszczył czoło.

- O co, do licha, ci chodzi? Potrząsnęła głową.

- Myślisz, że nie słyszałam o moich poprzedniczkach? To musiała być cała armia kobiet, które utraciły pracę, ponieważ zakochały się w tobie.

- Przyjmij do wiadomości, że nigdy z moimi asystentkami nie chodziłem do łóżka.

- Dopiero ze mną?

Zapadło kłopotliwe milczenie. Przez chwilę myślała, że nie odpowie.

- Dopiero z tobą - skinął głową.

Przytulił się do jej policzka, całował z tak namiętnym pożądaniem, z pragnieniem, by znikły wszystkie jej myśli, wszystkie opory. Niemal pozwoliła

sobie poddać się temu požądaniu, zapominając o wszystkim oprócz samolubnej potrzeby kochania. I nagle dotarło do niej, jaki uczyniła wybór. Chciała złamać zasady, które były dla niej cenne i ważne, poświęcić je dla krótkich, wykradzionych rzeczywistości momentów z Lukiem - te chwile byłyby dla niej fantastycznym wspomnieniem, które zachowałyaby na całe życie. A on by potem zajął się inną kobietą i pozostawił Grace ze złamanym sercem. Uświadomiła sobie, że jeszcze teraz może wstrzymać to wszystko, zanim sprawy posuną się za daleko.

W przeciągu paru tygodni pan Dominik powinien wrócić. Utraci wtedy pracę w biurze Luca. Może doświadczyłaby paru przykrości, może więcej niż paru. Ale ciągle jeszcze istnieje jej sklep, Misie z Dziecięcych Marzeń. Dużo ważniejszy niż słaba szansa przejścia przez znajomość z Lukiem bez złamanego serca.

Teraz przede wszystkim trzeba trzymać Luca na dystans. Nie dając mu czasu na zrealizowanie jego planów, wyzwoliła się z objęć i wstała.

- Co ty wyprawiasz? Jestem twoim pracownikiem i staram się ci pomóc w trudnej sytuacji. A ty mnie... atakujesz.

- Masz bardzo żywą wyobraźnię - powiedział z rozbawieniem w głosie. - Czyżbyś naprawdę uważała, że cię atakuję?

- Tak! Nie!

Wiedziała, że to jej ostatnia szansa. Jeżeli teraz nie odsunie Luca zdecydowanie, nic już nie odwróci biegu wydarzeń. Powiedziała najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

- Jeśli pan, panie prezesie, nadal liczy na moją pomoc, proszę traktować mnie z należyтым szacunkiem. Nie życzę sobie dwuznacznych uwag ani... dotykania mnie. I jeżeli w przyszłości będzie pan postępował w ten sposób, odchodzę. Czy wszystko jest jasne?

Wstrzymała oddech, modląc się, żeby uwierzył w to, co coraz bardziej stawało się kłamstwem. Ku swemu zdenerwowaniu zauważyła, że chociaż

właśnie dokonała wyboru, jednak gorąco pragnie, aby w przyszłości postępował też w ten sposób. I daleko jej było od uważania jego uwag za dwuznaczne, raczej były romantyczne i podniecające. O jego dotyku w ogóle starała się nie myśleć, pragnęła przecież jego pieszczot z pasją, która ją rozpalała. Musiała przypominać sobie o Misiach z Dziecięcych Marzeń. Musiała. Ale to przypomnianie wydawało się coraz trudniejsze.

Luc usiadł z kamiennym wyrazem twarzy.

- Wszystko jest jasne - powiedział.

Przyglądał jej się przez kilka minut, jakby próbując zrozumieć, co zrobił złego. Potem głos jego złagodniał:

- Nie będę robił nic na siłę. Wiesz, że nie masz się czego obawiać. Sama mi powiesz, kiedy będziesz gotowa.

- Mam się pakować? - spytała ostro. Podniósł jej rękę do góry, jak sędzia zwycięskiemu zawodnikowi.

- Wygrałaś. Jeżeli nie chcesz zrozumieć, do czego mogłoby to prowadzić, ja nie będę nalegał.

- Dziękuję. - Nic już nie zostało do powiedzenia. Skierowała się do drzwi.

- Grace?

Zawahała się. Nie zawróciła jednak, czekając co powie. Musiał coś powiedzieć, tak jak ona musiała stąd szybko uciec.

- Słucham, Luc.

- Nie chcę cię stracić. Nie dotknę cię więcej, jeżeli takie jest twoje życzenie.

- Dziękuję - powtórzyła.

- Nie dziękuj. Zrobiłbym co innego, gdyby wybór należał do mnie.

Gdybyś była szczerą sama przed sobą, musiałabyś przyznać, że nie tego pragniesz. I jeszcze jedno...

- Tak? - spytała.

- Śpij dzisiaj w moim łóżku.

Dopiero teraz odwróciła się w jego stronę.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Nie ma takiej potrzeby. Wstał z sofy, jakby rósł powoli i spostrzegła ku swemu przerażeniu, że wielki, rozdrażniony mężczyzna stoi przed nią.

- Połóż się w moim łóżku - powtórzył.

- Tak - szepnęła, spoglądając nerwowo na drzwi. Podeszedł do niej.

- I przyjmij do wiadomości, *bellissima mia*, że wiem więcej, niż ci się wydaje. Podczas tej rozmowy twoje oczy były tak zachmurzone, jak nigdy przedtem. Oczy zdradzają twoje myśli i nie wierzę w ani jedno słowo, które tutaj powiedziałaś. Pragniesz mnie tak namiętnie, jak ja ciebie. Teraz możesz już iść. Ale niedługo, bardzo niedługo, przyznasz mi rację.

Nie ośmieliła się już nic powiedzieć. Wybiegła z pokoju najszybciej jak było to możliwe.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzień 339. - Uwaga! Policja!

Zamknięcie drzwi na klucz nie dało jej poczucia bezpieczeństwa. Stojąc przy jego łóżku dziwiła się, jak choćby przez chwilę mogła przypuszczać, że uda jej się tu zasnąć. Do licha, nie wzięła nawet swojej koszuli nocnej. Nie miała również szczoteczki do zębów. Nie zamierzała jednak stąd wychodzić po zapomniane rzeczy.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli, rozległo się ciche pukanie. Ktoś chciał wejść do pokoju. To mógł być tylko Luc. Gdy stała bez ruchu, zastanawiając się, czy otworzyć, klamka przekreśliła się. Usłyszała stłumiony śmiech. Zauważył, że zamknęła się na klucz.

- Zostawiam tutaj twoją nocną koszulę - poinformował ją przez drzwi. - Możesz skorzystać z mojej szczoteczki do zębów - dodał. - Dobranoc, Grace.

Poczekala kilka minut, zanim otworzyła. Faktycznie jej koszula i jedwabny szlafrok leżały pod drzwiami, starannie złożone w kostkę.

Chwyła ubranie i ponownie przekręciła klucz w zamku.

Wyjęła z szafki w łazience czysty ręcznik.

I co ze szczotką do zębów? Nie ma mowy, żeby skorzystała z jego szczoteczki. Niehigieniczne, a poza tym nie będzie aż tak się spoufalac. Wystarczy, że śpi w jego łóżku.

Zdjęła zieloną sukienkę, powiesiła starannie na krześle. Widziała teraz oczyma wyobraźni dłoń Luca przy tej jasnej zieleni, dotykającą jej piersi. Jego ciemne włosy kontrastowały z jej jasną karnacją, gdy był tak blisko... Próbowala spokojnie oddychać. Może nie powinna była wkładać tej sukni, w końcu kupiła ją z myślą o świętach. Czy po tym wszystkim będzie w porządku, jeśli na święta znowu ją włoży?

Zęby umyła, kładąc na palec odrobinę pasty. Parę minut później była już gotowa do snu. Sen jednak przychodził z trudem. Wszystkie rzeczy przypominały jej Luca, tę namiętność, która ogarnęła ich oboje. Choć może to z jego strony nie była namiętność, może tylko chciał ją dręczyć w ten sposób?

Najtrudniejszy okazał się moment, gdy musiała wślizgnąć się do jego pościeli, oprzeć głowę na jego poduszce. Poduszka pachniała wodą kolońską, której używał. Zapach wypełniał nozdrza, z każdym oddechem wzmagal emocje. Zacisnęła pięści, on to musiał zrobić naumyślnie. Zamierzał doprowadzić ją do szaleństwa. Postanowiła, że się nie podda.

Trzy godziny później, na granicy prawdziwego szaleństwa, zaczynała wreszcie zapadać w sen. I wtedy usłyszała natarczywe pukanie. Dobrych kilka sekund zajęło jej ustalenie, że nikt nie pukał do drzwi jej pokoju. Pukanie dochodziło z zewnątrz.

Zarzuciła szlafrok na ramiona. Przez dłuższą chwilę mocowała się z zamkiem. Wreszcie znalazła się w przedpokoju. Luc już tam był. Właśnie otwierał drzwi.

Grace z przerażeniem dostrzegła dwóch policjantów stojących przed drzwiami, a przy nich panią Bumgartle z miną pełną złośliwej satysfakcji.

- Proszę go aresztować! - sąsiadka wskazała palcem na Luca. - Nie, aresztujcie ich oboje! Tych... kidnaperów.

Przez moment nikt się nie poruszył. Potem Luc zapytał:

- O co chodzi, panie oficerze?

- Pan Salvatore? - zapytał oficer. - Moje nazwisko Hatcher. O ile dobrze sobie przypominam, spotkaliśmy się dwa dni temu w pańskim biurze.

- Pamiętam - przyznał Luc. - O co chodzi tym razem?

- Kidnaperzy! - piekliła się sąsiadka. - Porwali dziecko! Mówili, że bratanica. To znaczy, że córka brata, panie władzo. To nieprawda. Wszyscy jego bracia byli tu dzisiaj, ale żaden nie zabrał dziecka. I on - wskazała oskarżycielsko palcem - ostrzegał ich, że nie chce znowu ściągnąć sobie na głowę policji.

- Zajmę się tą sprawą - oznajmił policjant, po czym zwrócił się do swego kolegi: - Odprowadź panią Bumgartle do domu i spisz zeznania.

Po krótkim wahaniu Luc zaprosił policjanta do środka. Grace widziała napięte mięśnie twarzy i gniewne błyski w złotych oczach. Martwiła się też, że zupełnie przypadkowo na zgłoszenie tej okropnej sąsiadki odpowiedział ten sam policjant, który był w biurze.

- Sądzę, że nie ma tu nic do wyjaśnienia - upierał się Luc. - Jak mówiłem poprzednio, opiekujemy się moją bratanicą. I to wszystko.

Policjant wyjął notes, przerzucił kilka kartek.

- Zgodnie z tym, co zanotowałem - stwierdził sucho - powiedział pan, że chodzi o parogodzinną opiekę nad dzieckiem. Tymczasem trwa to już prawie dwa dni. Proszę o wyjaśnienie tej sprawy.

- Sądzę, że wspomniałem poprzednio, że matka szwagierki poważnie zachorowała. Brat i szwagierka mieli pojechać do Włoch z dzieckiem, ale w ostatniej chwili zdecydowali, że zostawią córeczkę z nami. - Luc wziął Grace za rękę, dodając jej otuchy. - Nie rozumiem w czym problem.

Policjant ponownie zerknął do notesu.

- Czy posiada pan oświadczenie rodziców dziecka, iż powierzają je pańskiej opiece, metrykę urodzenia, książeczkę zdrowia... jakikolwiek dokument.

Luc potrząsnął głową.

- Rodzice dziecka powinni niedługo wrócić.

- Jak duża jest pańska bratanica? - zapytał policjant. - Czy mógłby pan podać datę jej urodzenia?

Grace wpatrywała się w Luca śmiertelnie przestraszona. Objął ją ramieniem.

- Dziecko ma trzy miesiące - odparł Luc, starając się nie poddawać. - Nie znam dokładnej daty urodzenia.

- Ciekaw też jestem, kiedy zmieniła się płeć dziecka - rzekł sarkastycznie policjant. - Czyżby nie wiedział pan, że to dziewczynka? Czy to aby na pewno pańska bratanica?

- Nie wiedziałem, że to dziewczynka, dopóki nie zmieniliśmy jej pieluszki - przyznał Luc. - Carina wymawiała imię dziecka: Toni, a ponieważ w mojej rodzinie rodzili się ostatnio sami chłopcy, sądziłem... Ona jednak jest moją bratanicą.

Policjant znów zajrzał do notesu.

- Dziecko nazywa się Antonia Donati... Salvatore. Czy może to także kłamstwo?

- Carina i mój brat jeszcze nie są małżeństwem

- Luc przymknął oczy i głęboko westchnął. - Na razie nie są.

Podejrzewam, że sytuacja zmieni się w najbliższych dniach.

- Podsumujmy fakty - rzekł policjant. - Powiedział pan, że dziecko powierzono pańskiej opiece tylko na kilka godzin. To okazało się kłamstwem. Twierdził pan, że dziecko jest pańskim bratankiem. To również nieprawda. Mówił pan, że pański brat i pani Donati są małżeństwem. Kolejne oszustwo. Również nie dysponują państwo pisemnym oświadczeniem rodziców dziecka, iż powierzają córeczkę państwu opiece.

- Proszę zrozumieć - próbował wyjaśnić Luc. - Carina, matka dziecka, musiała wyjechać do Włoch i pozostawiła córkę z moim bratem. To jest prawda. I to, że potrzebowała kogoś do opieki nad małą podczas jej nieobecności. Ponieważ mój brat jest ojcem dziecka, była to zupełnie naturalna decyzja. Problem polega na tym, że Pietro nic nie wiedział o istnieniu Toni, dopóki Carina nie pojawiła się w moim biurze.

- To by wyjaśniło awanturę w holu - kiwnął głową policjant.

- No właśnie. Mój brat pobiegł za Cariną. I właśnie z powodu interwencji policji nie zdążył jej dogonić.

- Luc - szepnęła Grace - nie rób sobie z niego wroga.

- Nie będę się przejmował - irytował się Luc.

- Gdyby nie to, że policja pozwoliła wtedy uciec Carinie, nie byłoby całej sprawy. A teraz musimy czekać, aż Pietro odnajdzie Carinę i dopiero będą mogli wziąć ślub i wrócić po Tonię. Do tego czasu - dodał Luc - ja i moja narzeczona będziemy opiekować się małą. Dziecko znajduje się w dobrych rękach.

- Nie do mnie należy decyzja - odparł policjant.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - ostro zapytał Luc.

- Spokojnie - Grace położyła mu rękę na ramieniu.

- Muszę wiedzieć, o co mu chodzi! - wyrwał się gwałtownie.

- Decyzję w sprawie dziecka podejmie Social Services. To już nie należy do mojej kompetencji. W świetle prawa sytuacja wygląda w ten sposób, że dziecko zostało porzucone.

- Nieprawda. Matka zostawiła dziecko z ojcem.

- Panie Salvatore, nie jest moją intencją klócić się z panem. Jestem zmuszony zabrać dziecko i jeśli będzie pan stawiał opór, zostanie pan aresztowany.

Zanim Luc odpowiedział, Grace zapytała:

- Co się stanie z Tonią?

- Zgodnie z wymogami prawa, zostanie przewieziona karetką do rejonowego szpitala - wyjaśnił policjant, jednocześnie zapisując coś w notesie. - Zostanie zatrzymana na noc na oddziale dziecięcym. Rano zostanie przetransportowana do wybranego domu dziecka.

- Co możemy zrobić, żeby odzyskać dziecko? - pytała Grace.

Spojrzał na nią z wahaniem.

- Szczerze mówiąc, sprawa nie wydaje się prosta - tym razem mówił naprawdę życzliwie., - Niezbędnym wydaje się dostarczenie oświadczenia rodziców, że pozostawiają dziecko pod pańską opieką. Książeczka zdrowia i kopia metryki urodzenia też będą tu konieczne.

- Czy to da się załatwić? - Grace popatrzyła niepewnie na Luca.

Skinął głową.

- Pietro może nam to przesłać faksem.

- Nawet jeśli dostarczy pan te dokumenty, nie oznacza to, że sprawa zostanie załatwiona pozytywnie. - Tu policjant spojrzał na Grace. - Stała obecność kobiety w pańskim domu byłaby dla pana czynnikiem sprzyjającym. - Schował notes. - Proszę mi teraz dać dziecko.

Nie było wyjścia. Luc poszedł do pokoju i przygotował torbę z pieluchami i z niezbędnymi drobiazgami. Grace ubrała dziecko w ciepły kombinezon, starannie opatuliła kocykiem, by nie zmarzło w tę chłodną noc. Przez cały czas policjant uważnie obserwował każdy ich ruch.

- Poczekaj - powiedziała Grace, gdy Luc już zamykał torbę. Dołożyła jeszcze pluszowego króliczka i piszczącego słonika. - Chciałabym jeszcze przygotować mleko dla małej - poprosiła policjanta.

- To nie będzie potrzebne - stwierdził sucho.

- Tylko minutka - spojrzała błagalnie.

Luc zachowywał kamienny wyraz twarzy, ale znała go już na tyle dobrze, by wyczuć bezsilną rozpacz.

- Bardzo proszę, czy mógłby mi pan pomóc? - poprosiła oficera, dając Lucowi czas, by mógł pożegnać się z dzieckiem.

Przygotowując mieszankę, Grace modliła się, by Luc przez ten czas nie zrobił nic głupiego. Odetchnęła z ulgą, gdy po chwili pojawił się w drzwiach, podając policjantowi dziecko i wypchaną po brzegi dużą torbę podróżną.

- Oto moja wizytówka - powiedział. - Sądzę, że możemy się spodziewać, iż ktoś zadzwoni do nas rano i powiadomi, co dzieje się z dzieckiem.

Oficer skinął głową.

- Radziłbym możliwie szybko dostarczyć wymagane dokumenty. W przeciwnym razie nie ma pan żadnych szans - powiedział.

Wyszedł, zabierając Tonię.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Luc z całej siły uderzył pięścią w ścianę, aż odprysnął wielki kawał tynku.

- Wszystko będzie w porządku - szepnęła Grace.

- Oni nam ją oddadzą.

Odwrócił się do niej. Widziała zaczerwienioną twarz, w oczach bezsilny gniew.

- Nie mogę pozwolić, by znowu tak się stało - powiedział. - Nie dopuszczę, by znowu rozdzielono moją rodzinę.

- Znowu?

Nie odpowiedział. Gwałtownie skierował się do pokoju gościnnego. Pobieгла za nim. Stał przed pustym łóżeczkiem, popatrzył na kołderkę, na kolorowe kaczuszki bujające się nad pustą pościelą.

- Miałem czternaście lat, gdy urodził się Pietro - westchnął. - Pietro był późnym dzieckiem, nie zaplanowanym, chociaż rodzice byli naprawdę szczęś-

liwi, gdy się urodził. Miał pomarszczoną buzię i wyglądał okropnie, jak mała małpka...

- Wyrósł na przystojnego mężczyznę - wtrąciła Grace.

Twarz Luca wykrzywiła się grymasem bólu.

- Tak. Oni też wtedy przyszli po niego. Mama umarła, gdy Pietro miał zaledwie kilka miesięcy - wyjaśnił. - Zachorowała na zapalenie płuc. Miała czterdzieści pięć lat, prawdopodobnie była osłabiona porodem. Umarła.

- Gdzie był wtedy twój ojciec? - zapytała Grace.

- Załatwiał sprawy służbowe we Włoszech. Zupełnie nie mogliśmy się z nim skontaktować. Mama nie spodziewała się, że...

- I co się stało? - podeszła i przytuliła się do niego. Jego skóra na szyi była gładka i ciepła. Westchnął głęboko.

- To samo co teraz. Przybyła policja, by zabrać Pietra do domu dziecka. Walczyłem o malca, nawet próbowałem bić się z nimi.

- Dlaczego walczyłeś?

- Jestem najstarszy z braci. Matka prosiła mnie, żeby nic nas nie rozłączyło aż do przyjazdu ojca. Obiecałem mamie. I nie potrafiłem wywiązać się z tej obietnicy. Policja nas rozłączyła.

- Luc, zrobiłeś wszystko co mogłeś - powiedziała szybko. - Byłeś wtedy bardzo młody, za młody, by opiekować się niemowlakiem i kilkoma młodszymi od siebie braćmi.

Zacisnął dłoń na pręcie łóżeczka.

- Zobowiązałem się do tego. I nie udało mi się. Oni zabrali moich braci. Potrzeba było aż trzech policjantów, żeby mnie trzymać, gdy ich zabierali - zamknął oczy i westchnął ciężko. - Rozdzielili nas. Umieścili w kilku różnych domach dziecka. Ojciec wrócił dopiero po trzech tygodniach.

- Chyba nie miał do ciebie pretensji? - zapytała zdenerwowana.

- Nigdy. Ale ja sam wiedziałem, że nie sprostałem zadaniu. I nie chcę, żeby to się powtórzyło. Zrobię dosłownie wszystko, żeby móc opiekować się Tonia.

- Co zamierzasz?

- Ty i ja - wyrzekł te słowa twardo i zdecydowanie - będziemy teraz małżeństwem.

- Nie mówisz tego serio! - cofnęła się. Otoczył ją ramieniem.

- Jestem śmiertelnie poważny. Gliniarz powiedział, że ważna jest stała obecność kobiety. Chcę wykorzystać wszystkie atuty.

- Ale co... co z Williamem?

Spojrzał na nią z niesmakiem. Szaleńcze pomysły Luca niepokoiły ją. Chociaż może to nie był najwłaściwszy moment, żeby wspominać o Willym.

- Ja... z nim porozmawiam - zaofiarowała się.

- Zrób to. Ważne, żebyś cały czas przebywała w moim mieszkaniu. Kiedy przyjdą tu z opieki społecznej, chcę, żeby ujrzeli szczęśliwą parę małżeńską, dwa grzebienie w łazience, dwie szczoteczki do zębów, wspólna tubka z pastą, dwie pary kapci w przedpokoju albo na nogach.

- Nie zgadzam się. - Pomyślała, że on przecież zupełnie nie liczy się z jej sytuacją.

- Odmawiasz pomocy?

Zastanowiła się. Wzrok jej padł na płaską kołderkę, na kolorowe kaczuszki bezradnie i bezsensownie bujające się nad łóżeczkiem. Poczowała tępy ból w żołądku. Z każdą chwilą coraz bardziej pograżała się w sprawy osobiste Luca. Kiedy wróci Dominik Salvatore, nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że przez ten rok znajomości udało jej się zachować służbowy dystans. Ale jakże mogła zostawić Luca w tak strasznej sytuacji? Nie, nie mogła go teraz zostawić.

- Nie możemy mówić, że jesteśmy małżeństwem - zaprotestowała. - Policja zanotowała, że jesteśmy zaręczeni. Wystarczy, że porównają zeznania.

- Pokażemy im świadectwo zawarcia związku małżeńskiego i nie będą mieli nic do gadania - stwierdził Luc.

- Co takiego?! - krzyknęła zaskoczona.

- Wstaniemy jak najwcześniej i pojedziemy załatwić zgodę na zawarcie małżeństwa. W razie gdyby się czepiali, nie będzie problemu.

- Nie! Ja się nie zgadzam.

- Musisz, proszę cię o to - nalegał. - Proszę, zrób to. Nie dla mnie. Dla małej.

- Traktujesz mnie jak rzecz, z którą możesz zrobić, co zechcesz.

- Przepraszam, wiem, że wszystko robię źle, ale tak bardzo potrzebuję teraz twojej pomocy.

I pocałował ją. Gorąco, namiętnie. To znaczyło dużo więcej niż przeraźliwie zimna logika wszelkich wyjaśnień.

Telefon obudził ich nad ranem. Grace szybko wyskoczyła z łóżka. Bolał ją każdy miesiąc. Każdy ruch sprawiał ból. Zarzuciła szlafrok i pobiegła do telefonu. Luc już tam był.

- Pietro! - krzyczał Luc. - Pietro! Co robisz? Jesteś we Włoszech?

- Co się dzieje? - zapytała, walcząc z ziewaniem.

- Co on robi we Włoszech?

- Zachowajmy cierpliwość - mruknął Luc. - Mamy kłopot - powiedział do słuchawki. - Tonię zabrała policja.

Gwałtowne okrzyki Pietra słyhać było w całym mieszkaniu.

- Zamknij się i słuchaj - przerwał mu Luc. Nie mogła ukryć zdenerwowania.

- Luc, może ja mu powiem - zaproponowała.

- Nieważne, co ona robi ze mną o tej porze - mówił Luc. - Nie zadawaj głupich pytań, tylko słuchaj. Musisz przesłać faksem jak najszybciej...

Chyba wreszcie udało mu się wszystko wyjaśnić.

- Nie martw się, Pietro - mówił. - Ja się tym wszystkim zajmę. Po prostu prześlij mi te dokumenty.

Zamienił z nim jeszcze kilka słów, po czym odłożył słuchawkę.

- Ubieraj się szybko - powiedział do Grace. - Musimy zdążyć ze wszystkim, zanim przyjdą tu z Social Services.

Zakupili mnóstwo przedmiotów potrzebnych we wspólnym gospodarstwie. Jeszcze kilka drobiazgów dla Grace i bagażnik był już wypełniony po brzegi.

Potem podjechali do mieszkania Grace. Musiała zabrać z domu swoje rzeczy, przygotować dokumenty potrzebne do uzyskania zgody na małżeństwo.

- Za chwilę będę z powrotem - zawołała i szybko wbiegła na schody.

Pomyślała sobie, że warto by sprawdzić automatyczną sekretarkę. Mógł telefonować jej ojciec. Na pewno niepokoi się o nią.

Tak, były trzy telefony od ojca. Potem zarejestrowana na taśmie rozmowa z fikcyjnym Williamem. Szybko przewinęła kasetę, nie chcąc tego słuchać. Zaraz potem... nagrana była wiadomość od... Luca.

- Dobrze, dobrze - mówił rozbawionym głosem. - To bardzo ciekawe.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Zaraz, zaraz. Dzwoniła z jego pokoju, a potem on gdzieś telefonował. No tak! Zapomniała o tym piekielnym przycisku z napisem redial, zapamiętującym numer telefonu ostatniego połączenia. On wszedł zaraz po niej do pokoju, nacisnął przycisk i dowiedział się, pod jaki numer dzwoniła.

Przymknęła oczy. Już wszystko rozumiała. Przedtem nie chciał podrywać dziewczyny zaręczonej z innym. Dowiedział się, że Willy nie istnieje i już nic mu nie przeszkadzało w sprawdzaniu na niej siły działania swojego uroku.

- Grace! - usłyszała wołanie.

No i jak mu teraz spojrzeć w oczy?

- Już idę - odpowiedziała.

A może nie będzie wiedział, że sprawdzała automatyczną sekretarkę.
Wtedy mogłaby nadal patrzeć na niego z wyrazem niewinności.

Do licha!

Wszedł do pokoju i od razu spojrział na telefon. I na jej twarz czerwoną ze wstydu. Po raz pierwszy tego dnia roześmiał się.

- Zapomniałaś mi o czymś powiedzieć.

- O czym? Czy nie powinniśmy już wracać? Objął ją tak silnie, że nie mogła się ruszyć.

- Nie pójdziemy, dopóki nie przyznasz, że nie ma żadnego Williama.

Opuściła głowę.

- Oczywiście, że istnieje William. - Udało jej się wyrwać z uścisku.

Podbiegła w stronę drzwi. - Po prostu nie jestem z nim zaręczona - zaśmiała się.

Niedługo potem witali w domu pracownicę Social Services. Pani Cartwright okazała się sympatyczną kobietą, grubo po trzydziestce, traktującą swój zawód z niesłychaną powagą. Luc dosłownie w trzy minuty zdołał całkowicie ją oczarować.

W pierwszej minucie wymienili nazwiska i wizytówki. Luc przedstawił Grace i podziękował pani Cartwright za to, że znalazła trochę czasu, by zająć się ich sprawą.

W drugiej minucie zadał milion pytań dotyczących Toni.

W trzeciej minucie zrelaksował się, przeprosił panią Cartwright za kłopot i oferował jej jeden ze swych najbardziej zniewalających uśmiechów. Następnie zaproponował filiżankę kawy...

- Cieszę się, że jesteście państwo małżeństwem - powiedziała pani Cartwright wychodząc. - Niechętnie zgadzamy się, by powierzano opiekę na dzieckiem parom, które nie wstąpiły w związek małżeński.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dzień 340. - narastają komplikacje...

Tonia powróciła późnym popołudniem. Czterej bracia Luca też świętowali jej powrót. Jedli kolację głośno i hałaśliwie. Malutkiej jednak nie przeszkadzały ani hałasy, ani zamieszanie. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Ustrojona w różową sukieneczkę z falbankami, oczarowywała jednego wujka po drugim słodkim gaworzeniem, gruchaniem, bezzębnym uśmiechem.

- To jest interesujące - ogłosił Marc.

Złapał Grace za rękę i przyglądał się zdobiącej jej palec obrączce. I już po chwili otoczyli ich wszyscy bracia.

- Czy ona jest prawdziwa? - domagał się wyjaśnień Stef.

- Wyjdiesz za tego tam... Williama? - dopytywał się Alessandro z dezaprobatą w głosie. - On nie jest dla ciebie dość dobry. Bo jeśli kazał ci tak się ubierać, że wyglądałaś jak dżdżownica...

Zanim Grace zdążyła coś odrzec, Luc pośpieszył z odpowiedzią:

- Ma tę obrączkę ode mnie.

Śmiertelna cisza zapadła po tym wyjaśnieniu. Potem Rocco zapytał:

- Czy ona jest prawdziwa?

Przez moment Grace myślała, że Luc znowu skłamię. Szturchnęła go łokciem.

- Nie ośmielisz się - mruknęła. - Dość tych oszustw.

W jego oczach błysnęła złość.

- Nie, nie jest prawdziwa - przyznał.

- Jeszcze nie? - zasugerował Marc z uśmiechem. Luc zignorował to pytanie.

- Ludzie z Social Services mają myśleć, że prawdziwa. Jeśli ktoś się dowie, że tak nie jest, stracimy Tonię. Trzymajcie buzie na kłódki.

Twarz Stefa wyrażała zdziwienie.

- Od kiedy to udajecie małżeństwo? Ostatnio twierdziliście, że jesteście zaręczeni.

- To jest wersja dla policji - wyjaśnił mu Alessandro z rozbawieniem w głosie. - Posłuchaj: w pracy on jest szefem, a ona jego asystentką, dla policji są zaręczeni, małżeństwem są dla opieki społecznej, a dla nas to fajni kumple, którzy właśnie siedzą przed nami.

- Nie wiem, jak wy się możecie w tym połapać - dziwił się Stef.

Alessandro zmarszczył brwi. - Mnie najbardziej interesuje, kim oni będą dla siebie, gdy już oddadzą Tonię.

- Kim będą albo lepiej: gdzie będą - zaśmiał się Marc. - Domyślam się, gdzie będą. Prawdopodobnie w najbliższym łóżku.

- Dość tego! - powiedział stanowczo Luc. Gniew błysnął w jego złotych oczach.

- Aha! - Rocco kopnął Marca pod stołem.

- Spójrz, jaką ma poważną minę.

- Lepiej spójrz na Grace! Ona się zaczerwieniła!

- Wystarczy, powiedziałem - denerwował się Luc.

- Tonia idzie teraz spać i musi mieć spokój. Źle spała zeszłej nocy i wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Może gdybyś spał w nocy, zamiast kochać się z Grace... - zaczął Marc.

- Do widzenia - przerwał ostro Luc. - Wychodźcie i to szybko!

Tym razem wyszli niemal bezszelestnie. Tylko Marc wykrzywił się obrzydliwie, gdy mijali drzwi pani Bumgartle.

Gdy już zostali sami, Grace spojrzała na Luca z dezaprobatą.

- Niepotrzebnie wmieszaliśmy ich w tę nieuczciwą sytuację. Czuję się winna i bez tego.

- Tak? - podszedł do niej. - A nie czułaś się winna wymyślając Willy'ego?
Zaczerwieniła się.

- To zupełnie inna sprawa. Nie oszukiwałam policji ani Social Services.
- Tylko mnie.

Chwycił ją za łokcie i przyciągnął ku sobie. Był wysoki, silny. Gdy podszedł blisko, miała wrażenie, że jego szerokie ramiona przesłaniają cały świat. Oparła ręce na jego biodrach. Wyczuwała pod palcami napięte mięśnie. Resztką sił powstrzymywała pragnienie, by wsunąć ręce pod jego koszulę i dotknąć szorstkich, kędzierzawych włosów porastających klatkę piersiową.

Opuściła głowę, walcząc z pokusą.

- Luc, nie - szepnęła.

- Myślę, że to twoje przebranie i Willy, że to było takie zabezpieczenie - powiedział nieoczekiwanie.

- Zabezpieczenie? - zmusiła się do czegoś na kształt uśmiechu. - Przed czym?

- Sądzę, że miałaś nieprzyjemne doświadczenia z poprzednim szefem - zauważył łagodnym głosem. - I dlatego to wszystko. Bałaś się, że będę taki jak on.

Poczuła się okropnie. Tak życzliwie próbował ją usprawiedliwić. Jednocześnie jego rozwiązanie było tak dalekie od prawdy.

- Nie! - krzyknęła. - Przysięgam, że nic takiego nie było!

- I po tych wszystkich kłamstwach miałbym akurat teraz ci uwierzyć.

On nic nie rozumie, pomyślała z rozpaczą.

- Zanim zaczęłam pracować w twojej firmie, przedtem, przez całe życie, skłamałam zaledwie sześć razy.

- I teraz postanowiłaś nadrobić zaległości - zaśmiał się.

Prześlizgnął ręką po jej szyi. Wyrwała się z uścisku.

- Obiecałeś, że nie będziesz mnie dotykać. Znowu o tym zapomniałeś!

- Pamiętam. Ale zaplanowałem z góry, że ta obietnica zostanie złamana.

Zaczął ją namiętnie całować, blokując wszystkie myśli i opory. Znowu objęła rękoma jego ramiona. Czowała rozpalający się w niej ogień pożądania. Rzeczywistość wymykała się spod kontroli. Ogarniało ją obezwładniające szczęście i pomyślała, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła tak silnego uczucia.

Delikatnie odpiął kilka górnych guzików jej bluzki. Zsuwając bluzkę z ramion, odsłonił linię szyi i piersi.

I zaczął pokrywać pocałunkami obnażone miejsca.

- Pragnę cię, *mia amorata* - szepnął.

Czowała na szyi ciepło jego przyśpieszonego oddechu. Resztką przytomności sprawiła, że Grace spróbowała wysunąć się z jego objęć.

- Nie powinniśmy - szepnęła. - To byłoby nie w porządku.

Mówiąc to, czowała, że kochanie się było właśnie tą jedyną rzeczą, którą powinni robić. Tak naturalną, że wszystko inne przy tym wydawało się być nie w porządku.

- Dlaczego? - zdziwił się. - Nie widzę żadnego problemu. Przyznałaś, że żaden William nie istnieje. Obiecuję, że nie stracisz pracy. O co chodzi? Przecież oboje tak bardzo siebie pragniemy.

Trzymał ją w objęciach, nie chcąc puścić. Jego pożądanie było widoczne jak na dłoni. Nie wiedziała, jak dłużej mogłaby się temu opierać. Jeszcze spróbowała coś wyjaśnić:

- Luc, to szaleństwo. Znamy się prawie rok i nic takiego się nie zdarzało. Teraz oboje jesteśmy zdenerwowani i dlatego reagujemy tak nietypowo. Taka... reakcja obronna organizmu. Rozumiesz?

- Co takiego? - mruknął.

- Reakcja obronna. To z nerwów. Robimy to, co myślimy, że chcemy, a naprawdę wcale tego nie chcemy.

Zaśmiał się i zamknął jej buzię pocałunkiem.

- Jeśli nie zrobię teraz tego, co oboje chcemy - powiedział po chwili wzruszonym głosem - to zrobię coś innego, na przykład pouryvam wszystkie guziki z tej twojej głupiej bluzki.

- Luc!

- Przestań! Pragnę całować wszystkie miejsca twojego ciała. Wewnętrzną część dłoni, namiętne usta, dotknąć językiem twojego pępka... Muszę, muszę zdjąć z ciebie te szmaty. Pragnę się kochać z tobą w każdym pokoju, w łazience, w kuchni i na werandzie. Zróbmy to wreszcie. Dlaczego ciągle z tym zwlekamy, skoro tak bardzo siebie pragniemy!

Nerwowo oblizwała wargi. Patrzyła zafascynowana w jego oczy, gorejące jak dwa rozżarzone węgle.

- Do czego to prowadzi? - zapytała.

- Prosto do łóżka

- Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli. Czy jesteś zainteresowany małżeństwem? Czy po prostu mówimy o jakiejś chwilowej przyjemności?

Zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Zależy ci na szczerej odpowiedzi?

- Tak - wykrztusiła z zaciśniętym gardłem. Przez chwilę zawahał się, a potem odpowiedział:

- Chcę się teraz z tobą kochać.

- Rozumiem.

Odwróciła głowę, próbując ukryć rozczarowanie. Powiedział to bardzo delikatnie. A jednak... Chciał tylko przygodnej kochanki, nie żony. To nie było to, o czym marzyła. Nie chciała pokazać, jak bardzo ta odpowiedź ją zraniła. Odsunęła się lekko od niego i poprawiła bluzkę, żeby zasłonić odkryty brzuch. Nie próbowała nawet zapinać guzików, tak bardzo trzęsły jej się ręce.

- Grace?

- No i co będzie z moją pracą? - zapytała. - Jak sądzę, przygoda nie będzie trwać wiecznie. Koniec bliski. I co potem?

- Niezależnie od tego, jaką podejmiemy teraz decyzję, nie sędzę, żebyśmy potrafili pracować razem tak, jakby nic między nami nie zaszło - powiedział szczerze i dodał: - Musimy w naszej firmie obsadzić kilka kierowniczych stanowisk i już przedtem chciałem ci zaproponować jedno z nich. Wyższa pensja, lepsze możliwości rozwoju.

Nigdy przedtem nie brała pod uwagę, że mógłby jej pomóc w dalszej karierze zawodowej. Propozycja wydawała się kusząca. Zmusiła się, by pomyśleć teraz o Misiach z Dziecięcych Marzeń. I już naprawdę nie wiedziała, czego się trzymać.

Znowu przytuliła się do niego.

- Już sama nie wiem. Potrzeba mi czasu do namysłu. Wolałabym raczej nic nie robić, niż miałabym potem żałować. Póki zajmujemy się Tonią...

- Chcesz poczekać z podjęciem decyzji do powrotu Pietra i Cariny?

- Tak. Na pewno nie będzie to dłużej niż do świąt.

- Ojej! - przypomniało mu się. - Tyle było innych spraw, że zapomniałem ci powiedzieć. Pietro dzwonił tuż przed przyjściem braci. Matka Cariny ma się lepiej. Carina jednak ciągle jeszcze nie wyraziła zgody na ślub.

- Co będzie, jak pan Dominik wróci? - zapytała zdenerwowana.

Potrzebowała czasu. Lucowi nie mówiła o planach, które robiły wspólnie z mamą. Nie wiedział, jak wiele włożyła w to przygotowań. I teraz poświęcić to wszystko? Dla przelotnej miłości? Jak długo Luc będzie chciał się z nią kochać? Parę tygodni? Kilka miesięcy? Jakże mogłaby zgodzić się na coś takiego? A jednak tak gorąco pragnęła tej miłości.

- Grace?

- Potrzebuję czasu do namysłu - powtórzyła.

- Do świąt?

- Dobrze. Do świąt. I przez ten czas nawet mnie nie dotkniesz. Żadnego całowania. Żadnego obściskiwania. Muszę mieć spokój, żeby podjąć właściwą decyzję.

- A jeśli nie wytrzymam?

- Będiesz musiał wyjaśnić Social Services, dlaczego twoja żona już z tobą nie mieszka - powiedziała i szybko wybiegła z pokoju.

Kolejne pięć dni ciągnęło się w nieskończoność. Gdy do świąt pozostał już tylko tydzień - ostatnie dni jej związku z rodziną Salvatore - czuła, że czas zatrzymał się niemal w miejscu. Zgodnie z poczynioną obietnicą, Luc nawet jej nie dotknął. To spowodowało, że oboje mieli nerwy napięte do granic wytrzymałości. W końcu sama nie wiedziała, czy powinna być mu wdzięczna za dotrzymywanie obietnicy. Odkąd zasłaniała się zbiorem praw i reguł, czuła się nimi osaczona.

Żałowała, że nie ma możliwości porozmawiania ze swoim ojcem. Potrzebowała teraz jego pomocy i porady. Nie kontaktowała się z nim już od kilku tygodni. Przecież mogła mu zostawić wiadomość. Tak jakoś kontakt się urwał.

Tak rozmyślała Grace, zmieniając Toni pieluszkę. Mała wierciła się, wierzgała nóżkami, nie dając się przewinąć.

Ktoś zadzwonił do drzwi. - Luc!

- O co chodzi? - Luc wychylił się ze swojego pokoju.

- Ktoś dzwoni do drzwi.

- Już otwieram.

Spodziewali się wizyty pracownika opieki społecznej. To pewnie ta kobieta, pomyślała Grace i szybko kończyła przewijając małą.

- Takie pyszne, ciepłutkie mleczko ci dałam - mówiła śpiewnym głosem - a ty tak fikasz nóżkami? Fikaj tak przy wujku Lucu, ale nie przy mnie.

Trzasnęły jakieś drzwi. Nagle do pokoju wpadł Luc.

- Szybko, szybko! - zawołał.

Chwycił pieluszki, wziął Tonię na ręce i energicznie pociągnął Grace do swojej sypialni.

Znowu ktoś dzwonił do drzwi.

Luc otworzył wielką szafę wnątkową, jakby malutki pokoik pełen wiszących ubrań.

- Wejź tutaj i ani słowa! - zakomenderował. - Nie wychodź, dopóki nie odwołam alarmu.

- Luc? - zapytała zszokowana. - Co się stało?

Luc wepchnął ją w głąb szafy, cmoknął w policzek.

- Ani słowa - przypomniał - To mój ojciec! Zamknął szafę.

- Pan Dominik tutaj? - zapytała Grace, uchylając drzwi szafy. - Przecież miał przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu.

Znowu usłyszeli przeraźliwy głos dzwonka.

- Wszystko rozumiem - szepnęła. - Ale dlaczego mam być w twojej sypialni? Dlaczego nie mogę być w pokoju gościnnym?

- Spokojnie! To najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Siedź tu i nie ruszaj się. On nie może dowiedzieć się o Toni, dopóki Pietro i Carina nie będą małżeństwem.

- Dlaczego akurat tutaj?

- Ojciec nigdy nie wchodzi do mojej sypialni, od czasu gdy wszedł bez pukania i zobaczył sprzątaczkę ścielącą moje łóżko.

- I co w tym złego, że słała akurat twoje łóżko?

- Akurat w tym momencie była nago - zaśmiał się Luc.

Dzwonek dzwięczał już bez przerwy.

Luc poszedł wreszcie otworzyć drzwi.

Grace odetchnęła z ulgą, gdy Tonia zamknęła oczka i zapadła w sen.

Ułożyła małą na znajdującym się w szafie wiklinowym pojemniku na brudną bieliznę. Jak ona mogła zasnąć w tych warunkach? - uśmiechnęła się zdziwiona.

Cichutko domknęła drzwi szafy. Czy pan Dominik czekał tak długo? Może już sobie poszedł? Przysunęła ucho do szpary w drzwiach. Pan Dominik coś mówił - szybki, gwałtowny potok słów, czasami wydawało się, że krzyczy. Niestety, nic z tego nie mogła zrozumieć, bo mówił po włosku.

- Już ci mówiłem, że jest mi przykro - odezwał się Luc, na szczęście nie po włosku. - Dlaczego nie poinformowałeś nas wcześniej o swoim powrocie?

- Chciałem wam zrobić miłą niespodziankę - denerwował się pan Dominik. - Dzwoniłem do biura. Powiedziano mi, że pracujesz w domu. Co się stało?

- Wydawało mi się dobrym pomysłem, żeby akurat dzisiaj pracować w domu - sucho odparł Luc.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

- Masz tu jakąś kobietę - domyślił się Dominik Salvatore. - Dlatego zatrzęsnałeś mi drzwi przed nosem. Gdzie ona jest?

- Tak. Mam kobietę. Nawet dwie - brzmiała zimna odpowiedź. - Blondynkę i brunetkę.

On oszalał, pomyślała Grace, wstrzymując oddech. W napięciu czekała na reakcję pana Dominika.

- Może chcesz sprawdzić mój pokój? - zapytał uprzejmie Luc. - Ukryłem je właśnie tam.

Znowu zapadło kłopotliwe milczenie. Grace czuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

- Przeprosiłem cię za tamto - usłyszała wreszcie głos pana Dominika. - Ta młoda kobieta też mnie przeprosiła.

- Twoje przeprosiny nie były konieczne. Nie wracajmy już do tamtej sprawy. Mówmy o czym innym.

- Gdzie jest Grace? Gdy dzwoniłem do biura, jej też nie było.

- Dałem jej wolne popołudnie. Ostatnio miała bardzo dużo roboty.

- To dobra dziewczyna.

- O, tak. Jeszcze lepsza, niż można by osądzić na pierwszy rzut oka.

Pan Dominik stłumił uśmiech.

- Sam nie wiesz, jak trafne są twoje słowa.

- Wiem, co mówię. Możesz być pewien. Ale... powiedz teraz, jak podróż.
Brakowało nam ciebie.

Luc, odprowadzając ojca do drzwi, spojrzął na zegarek i powiedział ciepło:

- Już powinienes być w domu, tato. Dzięki, że wpadłeś.

- Tak, już czas na mnie. Wiesz co? Chciałbym zobaczyć wszystkich moich synów na świątecznym obiedzie. Co ty na to? - spojrzął wyczekująco na swego pierworodnego.

- Świetny pomysł, tato. Oczywiście. Dawno cię nie widzieliśmy.

- Dzień dobry. - Właśnie w tym momencie podeszła do drzwi młoda kobieta w szarym uniformie, w drucianych okularach na nosie. - Moje nazwisko Carstairs - przedstawiła się. - Jestem...

- Masażystką! - krzyknął Luc. - Wreszcie pani przyszła! Tak długo czekałem na panią!

- Nie! Ja...

Pan Dominik z trudem stłumił uśmiech.

- Blondynka, brunetka, a teraz ruda - pogroził Lucowi palcem. - Pewnego dnia, mój chłopcze...

Luc objął ramieniem zszokowaną pracownicę Social Services i dość gwałtownie wepchnął ją do mieszkania.

- Przepraszam, takie drobne zamieszanie - zwrócił się do ojca. - Do widzenia, tato.

Panna Carstairs stała oparta o ścianę i nie mogła złapać tchu. Miała zaczerwienione policzki. Tak, Luc niewątpliwie wywierał wrażenie na kobietach.

- Nie jestem masażystką - szepnęła speszona.

- Nie? - zdziwił się Luc.

- Carstairs, z Social Services. Czy mam przyjemność z panem Salvatore?

- We własnej osobie. Miło mi panią poznać - uścisnął z szacunkiem podaną dłoń.

- Wyznaczono mnie na kuratora... Chwileczkę, chciałam się upewnić. Pan Luc Salvatore? Pana żoną jest pani Grace Salvatore?

- Tak. Zgadza się.

Pomyślał, że być może nie powinien był przedstawiać jej jako masażystki, ale to była pierwsza rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

- Przykro mi, ale ani Grace, ani dziecka nie ma teraz w domu - powiedział, starając się odprowadzić ją do drzwi. - Może mogłaby pani jutro zajrzeć do nas?

Objął ją i delikatnie naciskając ramieniem jej plecy, starał się skierować ją do drzwi.

Nagle rozległ się z głębi mieszkania głośny płacz niemowlęcia.

- Czyżby pańska żona i dziecko mimo wszystko znajdowały się w pańskim mieszkaniu? - Kuratorka zatrzymała się, nasłuchując. - Moim zdaniem brzmi to całkiem jak płacz niemowlęcia.

I szybko wbiegła do mieszkania, szukając źródła płaczu, nie dając Lucowi żadnej szansy na jakiegokolwiek działanie. Kierując się donośnym głosikiem Toni, błyskawicznie dotarła do pokoju Luca. Przez chwilę wahała się, stanęła przed drzwiami szafy, rzuciła na nie pełne niedowierzania spojrzenie, po czym zajrzała do wnętrza.

Grace siedziała na podłodze, przytulając do piersi Tonię. Malutka już nie płakała. Miała zamknięte oczki. Jasne, bursztynowe loki Grace opadały tuż koło jej buzi. I żeby nie to, że rzecz miała miejsce w szafie, można by powiedzieć, że był to naprawdę uroczy obrazek.

- Trzyma pan dziecko i żonę zamknięte w szafie? - ostro spytała kuratorka. - Czy one tutaj śpią?

- Nie trzymam żony ani dziecka zamkniętych w szafie. Ani też nie każę im tam spać. Mój ojciec... Grace... - próbował wyjaśnić Luc. W końcu machnął ręką z rezygnacją. - To długa historia.

Panna Carstairs rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Potem znowu się zaczerwieniła. Oparła się o ścianę i, uważnie obserwując swoje buty, rzekła:

- Proszę mówić. Ja mam czas.

Ponownie ułożywszy Tonię w koszyku na brudną bieliznę, Grace próbowała wydostać się z szafy.

- Ścierpły mi nogi - szepnęła. - Jak długo był tutaj twój ojciec?

- Trochę się zagadaliśmy - przyznał Luc. Spojrzał na nią uważnie.

- *Cara*, wszystko w porządku?

Czyżby zauważył, że płakała? Grace zaniepokoiła się. Lepiej, żeby o tym nie wiedział. Szybko podeszła do kuratorki.

- Grace... Salvatore - przedstawiła się z uśmiechem.

- Lillian Carstairs. Chciałabym zapytać, czy często mąż zamyka panią wraz z dzieckiem w tej szafie?

- Przysięgam, że był to pierwszy raz - Luc odpowiedział za nią. - Ręczę również za wszystkie inne szafy. Kochanie, czy byłaś kiedyś w jakiejś innej szafie?

- Tylko raz. Jak miałam dwanaście lat.

- Przepraszam - przerwała panna Carstairs. - Zajmijmy się tym ostatnim wypadkiem. Proszę mnie poinformować, z jakiego powodu ukrywała się pani w szafie.

- Z powodu pana Dominika, ojca Luca, on nie powinien nas znaleźć - odpowiedziała Grace.

- Mój ojciec nic nie wie o Toni - dodał Luc.

- Prawdę mówiąc, nawet nie wie, że jesteśmy małżeństwem. My... pobraliśmy się, gdy on był we Włoszech. I nie możemy mu powiedzieć dopóki...

- Dopóki pańska małżonka i dziecko będą przebywać ukryte w szafie - odpowiedziała kuratorka.

- Następnym razem schowamy się w łazience - zaproponowała Grace. - Czy tak będzie lepiej?

- Może lepiej byłoby po prostu powiedzieć prawdę - oznajmiła lodowatym głosem kuratorka. - I myślę, że wymagałoby wyjaśnienia również to... niezwykle powitanie. Pan dobrze wiedział, że nie jestem... hm... masażystką.

W oczach Luca błysnęły wesołe iskierki.

- Przykro mi. Chciałem uniknąć przedstawienia pani mojemu ojcu. Miałoby to w przyszłości jak najgorsze konsekwencje. Przepraszam, jeśli panią uraziłem.

Policzki panny Carstairs ponownie przybrały jaskrawoczerwony kolor. Grace mogła jeszcze raz się przekonać, jak urok Luca działa na kobiety.

- Może zacznijmy to spotkanie od nowa - zaproponował Luc z czarującym uśmiechem. - Może wypiłaby pani filiżankę kawy, a potem wszystko pani pokażemy i z przyjemnością odpowiemy na wszelkie pytania. Grace, kochanie, czy mogłabyś zrobić kawy? - zapytał.

- Tak, akceptuję pomysł porozmawiania przy kawie - zgodziła się kuratorka.

- I jeszcze mleko dla Toni - przypomniał Luc.

Grace wyjęła Tonię z koszyka na brudną bieliznę. Spojrzała na Luca z uznaniem. Jego dar czarowania kobiet jeszcze raz się przydał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dzień 346. i sytuacja Grace staje się coraz gorsza...

Noc nie przyniosła ulgi. Grace przewracała się z boku na bok, przeraźliwie zmęczona szarpiącymi ją wątpliwościami: jaką powinna dać odpowiedź na intrygującą ofertę Luca. Nadal nie wiedziała, co robić. Miała kilka możliwości, to prawda. Ale żadna nie była tym, czego pragnęła. Wtuliła głowę w poduszkę. Czy powinna opowiedzieć Lucowi o umowie, którą zawarła z panem Dominikiem? Czy powinna przyjąć jego życzliwie zaoferowaną pomoc, jeśli nie uda się otworzyć sklepu dla Misiów z Dziecięcych Marzeń? A najważniejsze, czy powinna się zgodzić na tymczasowy związek z wszelkimi tego konsekwencjami.

Tego właśnie nie wiedziała. Luc pragnął jej, ale przecież nie myślał o małżeństwie. Chciał pobawić się nią i zostawić. Wołała teraz nie zawracać sobie głowy tą oczywistą prawdą.

Wstała. Dzień był piękny, słoneczny. Niespodziewanie ujrzała Luca w garniturze, w krawacie...

- Idziesz teraz do biura? - zapytała. Miała nadzieję spędzić z nim kilka uroczych chwil.

- Niestety, muszę. Ojciec chciał się ze mną zobaczyć. Żąda sprawozdania z rocznej działalności firmy. Chyba lepiej, żebym spotkał się z nim w biurze niż tutaj.

- Tak, tutaj to niemożliwe - zgodziła się. - A co z Pietrem i Cariną? - zapytała.

- Nadal mam nadzieję, że wrócą przed świętami. W przeciwnym razie Pietro już by telefonował. Zostaniesz tutaj z Tonia, dobrze? Jeśli ojciec zapyta, powiem, że jesteś chora.

- Jeszcze jedno kłamstwo - mruknęła.

Zmarszczył brwi. Po chwili objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Wiem, jak bardzo to trudne dla ciebie. Musimy jednak wytrzymać aż do powrotu Pietra. A potem będziemy mogli spotkać się i wszystko sobie szczerze wyjaśnić.

- Bardzo bym tego chciała - uśmiechnęła się. - Miałabym do dorzucenia jeszcze kilka własnych wyjaśnień.

- To mnie zupełnie nie dziwi.

Cmoknął ją w policzek, a potem, jakby nie umiał już się opanować, pocałował ją jeszcze raz i jeszcze... Coraz mocniej, coraz namiętniej.

- Grace - powiedział zachrypniętym ze wzruszenia głosem - wiem, że łamię naszą umowę. Ale nie mogę...

Wtuliła się w jego ramiona i nagle zrozumiała, że wszystko jest oczywiste. Przez długą, bezseną noc szamotała się ze swoimi myślami, próbowała podjąć sensowną decyzję - czy walczyć o jego miłość, czy po prostu odejść, zachowując spokój, a także i godność. Teraz jednak, w jasnym świetle dnia, wiedziała już, jaką powinna dać mu odpowiedź. Teraz, wtulona w jego ramiona, nie miała już wątpliwości.

Po raz pierwszy, odkąd byli razem, miała pewność, że ich myśli i uczucia są podobne. Mogła powiedzieć mu o wszystkim, niczego nie ukrywać, wreszcie wszystko mu wyjaśnić.

Oczywiście cały czas wiedziała, że małżeństwo go nie interesuje. Przynajmniej nie z nią i nie teraz. Może kiedyś spotka jakąś dziewczynę, z którą będzie chciał się ożenić. Ale ona nie ma żadnych szans. Musi się przygotować, że po paru tygodniach, czy po kilku miesiącach Luc znudzi się nią i to rozstanie będzie z pewnością bolesne. Wiedziała, ale nie mogła nic na to poradzić. Nigdy w życiu nie kochała nikogo tak gorąco.

- Ja też cię pragnę - powiedziała.

- Powiedz to jeszcze raz - złote oczy pociemniały.

- Pragnę cię - powtórzyła. - Pragnę gorąco i nieprzytomnie.

- Czy jesteś pewna, że to nie żadna reakcja obronna organizmu? - słyszała sceptycyzm w jego głosie.

- Co powiesz później, jak już im oddamy TONIĘ? Co powiesz potem?

- To samo.

Zdziwiony przyglądał jej się uważnie.

- Jesteś tego pewna?

- Całkowicie.

Tyle było szczerości w jej głosie, że nie mógł nie wierzyć. Przytulił Grace, pocałował jej spragnione usta, objął silnymi ramionami.

- I akurat teraz muszę iść do biura - mruknął zde gustowany.

- Wychodzisz na cały dzień? - zapytała zmartwiona. - Czy nie da się tak zrobić, żebyś wrócił trochę wcześniej?

- Może nawet uda mi się wpaść w porze lunchu - obiecał z figlarnym błyskiem w oczach, szybko cmoknął ją w policzek i wyszedł.

Zamknęła drzwi i oparła czoło o zimną drewnianą framugę. Jeszcze dzień lub dwa i wielkie łgarstwo zostanie zakończone. Pietro powróci. Tonia będzie znowu ze swoimi rodzicami, a ona i Luc wyjaśnią sobie wszystkie oszustwa. Jeszcze trochę da się wytrzymać.

Grace ściągnęła mocniej pasek szlafroka, odgarnęła niesforny kosmyk włosów, po czym podeszła do łóżeczka, w którym leżała Tonia. Malutka zabawiała się kolorowymi kaczuszkami, wiszącymi nad łóżeczkiem. Coś tam gruchała do siebie.

- Dzień dobry, mały szkrabie - Grace uśmiechnęła się do dziecka. - Widzę, że humor dopisuje. Czy masz ochotę na śniadanko? A może najpierw kąpiel?

Tonia fiknęła nóżką i radośnie pisnęła.

- A więc śniadanko najpierw - domyśliła się Grace.

Wyjęła malutką z łóżeczka, przytuliła...

Wtem ktoś zadzwonił do drzwi. Grace podbiegła i szybko otworzyła. Później pomyślała sobie, że powinna była zerknąć przez wizjer. Ale nie zrobiła tego i było już za późno. Już nic nie mogło jej uratować. Za drzwiami stał Dominik Salvatore.

Spojrzał na nią. Cofnął się zaskoczony. Sprawdził numer na drzwiach. Potem znowu popatrzył na nią. Na blond loki, nie uczesane jeszcze po nocy, na jedwabny szlafroczek, a w końcu na niemowlę. Zmarszczył brwi.

- Nie nosisz już okularów - zauważył.

- Nie, nie noszę - przyznała.

- I twoje włosy...

- Wiem. Znowu są jasne - podświadomie dotknęła luźno opadających na plecy loków. - Proszę wejść. Dlaczego pan nie wchodzi?

Wyglądał na załamane. Mężczyźni ponoć nie płaczą, ale przez chwilę obawiała się... Powoli wszedł do mieszkania.

- Wszystkie moje plany diabli wzięli - jęknął.

- Nie jest tak źle - oznajmiła.

Zastanawiała się, którą historię powinna mu opowiedzieć. Czy coś wspomnieć o Pietro i Carinie? Czy mówić, że Tonia to jej dziecko? Żałowała, że Luc nie może jej pomóc.

Dominik Salvatore potrząsnął głową. Mruknął coś po włosku. W końcu zapytał błagalnie:

- Jak to się mogło wydarzyć?

O, Boże! Co mu odpowiedzieć? W głowie miała straszliwy chaos i zupełnie nie wiedziała, którą przedstawić wersję. Misiów z Dziecięcych Marzeń nic już nie mogło uratować. Ale... powinna pomóc Pietro i Carinie.

Na szczęście Tonia przyszła jej w tym momencie na ratunek. Reagując na wzrastające napięcie otoczenia, zaczęła płakać.

- Och, kochana! - zawołała Grace z widoczną ulgą. - Zaraz zrobimy śniadanko. Mamy tutaj takie pyszne mleczko...

Przez dłuższą chwilę pan Dominik przyglądał się Toni i twarz mu się zachmurzyła. Grace mogła zauważyć, jak mieszane uczucia nim targały - zachwyty uroczą Tonią, rozkoszowanie się możliwością posiadania takiej wnuczki, i oburzenie na sposób, w jaki została poczęta.

Wreszcie wyciągnął ręce i wziął w ramiona kwilące niemowlę. Pokuśtał trochę na rękę. Tonia przestała płakać. Rozpromieniwszy się na chwilę, zapytał:

- I kogo my tu mamy?

- To pana wnuczka, Antonia.

- Wnuczka - powtórzył zdziwiony. - To zupełnie niezwykle. W jakim jest wieku?

Grace odwróciła wzrok.

- Ma trzy miesiące.

Spojrzał na Grace z niebotycznym zdumieniem. Potem zaczął coś mówić - dużo i gwałtownie - po włosku. Nie rozumiała słów, ale dokładnie wiedziała, o co mu chodzi. Jeżeli ona miałaby być matką Toni, musiałaby wskoczyć Lucowi do łóżka dosłownie pierwszego dnia pracy.

- Trzy miesiące - powtórzył pan Salvatore.

- To przebranie nie spełniło swojej roli - powiedziała zaczerwieniwszy się z upokorzenia.

- Tak właśnie mi się wydaje.

I znowu Tonia przyszła jej z odsieczą. Wiercąc się w ramionach dziadziusia, zaczęła kaprysić.

- Tonia jest głodna - powiedziała Grace. - Musimy ją nakarmić.

Wstawiła butelkę do kuchenki mikrofalowej.

- Może napiłby się pan kawy? - zaproponowała.

- Chętnie. Dziękuję.

Usiadł na kuchennym taborecie, ostrożnie trzymając na rękę swoją pierwszą wnuczkę.

- Powiedz mi, Grace, co tu się wydarzyło? Napełniła filiżankę aromatyczną, czarną kawą.

Odchrząknęła.

- Dobrze... to długa historia...

Rozległ się pisk mikrofalówki. To dało jej kilka dodatkowych sekund na zebranie myśli.

- Czy nie zechciałby pan nakarmić Tonię?

- Byłbym zaszczycony. - W tym momencie zachwyty nad Tonią przytłumił oburzenie na nielegalność jej poczęcia.

Grace założyła małej śliniaczek. Podała butelkę z mlekiem panu Dominikowi.

- Wykapana Anna. Kubek w kubek podobna do mojej zmarłej żony - powiedział. - I naprawdę jestem wdzięczny, że nadaliście jej imię babci Antonii.

- To bardzo dobre dziecko - zauważyła Grace.

- Piękny maluszek - przyznał Dom Salvatore. - Opowiedz mi jednak całą historię. Przebranie nie spełniło swojej roli? Nawet przez jeden dzień?

- Nawet przez jeden dzień - potwierdziła. - Luc nie tak łatwo daje się wystrychnąć na dudka.

- Nawet taka mądra dziewczyna jak ty nie umiała sobie poradzić - dziwił się pan Dominik. - Nie mogłaś mu się oprzeć?

- Jemu trudno się oprzeć - westchnęła Grace.

- Lecz ciągle jeszcze nie rozumiem. - Widoczne było, że próbuje znaleźć jakieś wyjaśnienie, które by go zadowoliło. - Wydawało mi się, że założenie własnego biznesu jest dla ciebie ważne. Myślałem, że umowa między nami ma jakiś sens - westchnął głęboko. - Musiałaś... bardzo pokochać Luca, skoro zrezygnowałaś ze swoich planów.

Grace z rozpaczą stwierdziła, że nie jest w stanie zapanować nad łzami.

- Misie z Dziecięcych Marzeń były dla mnie najważniejsze w świecie. Bardzo starałam się, żeby pana nie zawieść. Naprawdę. Proszę mi wierzyć. Farbowałam włosy, opowiadałam o Willym... ale... Luc...

Głos jej się załamał. Łzy popłynęły z oczu z siłą wodospadu. Opuściła głowę.

- Przepraszam, moja droga. Nie chciałem ci sprawić przykrości.

Pogłaskał delikatnie Tonię po główce.

- Muszę przyznać, że nie jestem zadowolony z żadnego z was. Miałem nadzieję, że macie choć trochę poczucia odpowiedzialności. Mimo że tak wiele dla mnie znaczy zarówno mój syn, jak i moja wnuczka, wyrzekłbym się ich, gdyby...

Grace poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Gdyby co?

- Gdybyście nie byli małżeństwem. Czy ślub się odbył?

Zamarła z przerażenia. Nagle usłyszała za sobą spokojny głos Luca:

- Tak, tato. Jesteśmy małżeństwem.

Uświadomiła sobie, że Luc musiał stać w drzwiach już od dłuższej chwili i słyszał każde słowo ich rozmowy. I był naprawdę wściekły. Jego oczy błyszczały jak złote ślepie pantery szykującej się do ataku. Widziała kiedyś w zoo coś takiego.

- Co tutaj robisz, tato? - zapytał z pozornym spokojem w głosie. Chociaż jeden rzut oka na niego wystarczyłby jako ostrzeżenie.

- Mam wrażenie, że wczoraj zapomniałeś mi o czymś powiedzieć - pan Dominik jakimś cudem zachował spokój.

- Przecież mówiłem, że ukryłem w swoim pokoju blondynkę i brunetkę - odrzekł Luc, nalewając sobie kawy.

- Myślałem, że to żart. Wiesz o tym. Dlaczego nie powiedziałeś prawdy? Masz żonę, masz dziecko, i nie pofatygowałeś się, żeby zawiadomić własnego ojca.

Luc zawahał się z odpowiedzią.

- Gdybym zawiadomił, to co byś zrobił? - Momentalnie przyjechałbym zobaczyć, co się tutaj dzieje - padła szybka odpowiedź.

- No widzisz. Sam to powiedziałeś. Lekarze zalecali ci odpoczynek. Wcześniejszy powrót nie wyszedłby ci na zdrowie.

- Przestań z tymi lekarzami. Oni się nie znają. Jestem zdrowy jak koń.

- Sześćdziesięcioletni koń z chorym sercem.

- Życzyłbym sobie rozmawiać o sytuacji, jaką tu zastałem - obruszył się pan Dominik. - Moje zdrowie nie ma tu nic do rzeczy... Poznałeś prawdę o Grace? - zapytał niespokojnie.

Luc oparł się plecami o stół kuchenny i powoli sączył kawę. Zerknął na Grace. Ich spojrzenia spotkały się. Dobrze rozumiała lodowatą furję widoczną w złotych oczach. Odkryta prawda o jej przebraniu i pierścionku zaręczynowym? Tak. Duża część oszustwa wyszła na jaw już przedtem. Nie było jednak mowy o udziale pana Dominika, o łapówce - pieniądzach na jej własny biznes. Zdawała sobie sprawę, że właśnie ten istotny szczegół cały czas pomijała w swych wyjaśnieniach.

Wyraz twarzy Luca wystarczył za ostrzeżenie. On niełatwo im to wybaczy.

- I nie masz do mnie pretensji? - zdobył się na pytanie Dominik Salvatore.

- A powinienem?

- I dlatego właśnie nic nie powiedzieliście mi o Antonii - domyślił się Dom. - Bo miałeś pretensję o to oszustwo.

- Nie, tato. Skądże znowu - powiedział Luc już dużo łagodniej. - Przecież wyjaśniłem ci wszystko. I w sumie nie jest tak źle. Ten rok pozwolił ci dojść do zdrowia, a mnie poważnie zająć się sprawami zawodowymi.

- Zatem dobrze się stało, że zatrudniłem Grace - mruknął Dom. - Jednak pomogła ci się skoncentrować na robocie.

Luc dopił kawę i odstawił kubek na stolik kuchenny.

- Powinieneś ufać, że poradzę sobie bez twojej ingerencji.
- Możliwe - ojciec lekko wzruszył ramionami.
- Woląłem jednak mieć pewność, że przez ten rok będziesz zajmował się sprawami zawodowymi i obiekty twych namiętnych pożądań nie będą cię rozpraszać.

- Spojrzał na Grace i uśmiechnął się przepraszająco.
- Ale z tym już teraz nie będzie problemu. Salvatore zakochuje się naprawdę raz w życiu i gdy to już się stanie, jest wierny swojej wybrance przez całe życie i przestaje zwracać uwagę na inne kobiety.

To było wszystko, co Grace mogła wytrzymać bez płaczu. Tak gorąco marzyła, żeby te słowa były prawdą.

Odstawiła filiżankę po kawie do zlewu, podeszła do pana Dominika.

- Bardzo przepraszam - powiedziała cicho. - Muszę teraz przebrać malutką.

- Cieszę się, że wróciłem wcześniej - powiedział, całując ją w oba policzki. - Mój syn znalazł wartościową dziewczynę i ma urocze dziecko.

Niezdolna do jakiegokolwiek odpowiedzi, Grace uśmiechnęła się, po czym wyszła z Tonią z pokoju.

Być może postąpiła źle, że zgodziła się uczestniczyć w programie pana Dominika, ale warunkiem było spełnienie jej życiowych planów i trudno było temu się oprzeć. Czy Luc będzie mógł to zrozumieć? Czy przynajmniej będzie chciał wysłuchać jej wyjaśnień?

Dwadzieścia minut później Grace wróciła z wykąpaną i przebraną Tonią, akurat żeby pożegnać się z panem Dominikiem. Stała obok Luca i uśmiechała się jak wzorowa żona.

Ojciec zniknął w holu. Luc odwrócił się do niej. Był wściekły.

- Każde twoje cholerne słowo okazało się kłamstwem - burknął, kopiąc ze złością nie domknięte drzwi.

Drzwi trzasnęły głośno, gwałtownie odbijając się od framugi.

- Nie każde.

Przytulając TONIĘ do piersi, Grace skierowała się do pokoju. Po chwili doszła do wniosku, że nie może cały czas osłaniać się dzieckiem jak tarczą. Rozesłała kołderkę na puchatym dywanie i położyła tam TONIĘ.

- Niewiniątko z piekła rodem - skomentowała, postanowiwszy, że nie da się zastraszyć jego furją. - A co powiesz o wszystkich swoich łgarstwach?

- Ja kłamałem, żeby uchronić dziecko - padła zdecydowana odpowiedź. - To były kłamstwa konieczne.

- Co nie zmienia faktu, że były to kłamstwa. Zastanów się, czyż nie zrobiłam wszystkiego, co mogłam, żeby ci pomóc, odkąd zjawiała się Tonia? Czyż nie oszukiwałam policji i Social Services, żeby uchronić Pietra i Carinę? I po co to wszystko? Dla ciebie! Czego jeszcze chcesz ode mnie? Musiałam nawet kłamać twojemu ojcu. I kosztowało mnie to drogo. Już nic nie będzie z mojego własnego biznesu.

Te słowa przywiodły jej na myśl wszystkie fakty.

- Mój własny biznes - szepnęła.

Ku jej przerażeniu łzy znowu popłynęły ciurkiem. Rozejrzała się rozpaczliwie, próbując sobie przypomnieć, gdzie mogą być chustki do nosa.

Podał jej paczkę chusteczek jednorazowych, co przyjęła z wdzięcznością, próbując zatrzymać potoki łez.

- Przepraszam - wyszłochała. - Jestem zdenerwowana.

- Wyjaśnij mi wreszcie - poprosił Luc - co wyście wymyślili z moim ojcem?

Włożył ręce nonszalancko do kieszeni spodni. Widziała jednak, jak bardzo napięte są mięśnie jego twarzy. Złote oczy ciskały błyskawice.

- Wiesz już prawie wszystko - wyjęła z paczki drugą chusteczkę.

- Do licha - denerwował się Luc. - Na pewno nie wiedziałem o twoim sojuszu z ojcem.

- Jedyna rzecz, której nie wiedziałaś. Przebranie, Willy... domyśliłaś się już prawie wszystkiego.

- I to wszystko wiązało się z moim ojcem? - Patrzył na nią ze złością i niedowierzaniem.

Przytaknęła. Kolejna chusteczka nadawała się do wyrzucenia. Grace sięgnęła po następną.

- Jemu wydawało się to jedynym sposobem, żeby mógł spokojnie przejść na emeryturę. Wszystkie poprzednie asyistentki kochały się w tobie, robiło się przez to w biurze straszliwe zamieszanie i w takim bałaganie, jak sądził, nie dało się prowadzić firmy. On myślał, że ja będę inna.

- Dlaczego akurat ty?

- Myślał, że jestem rozsądniejsza, widział jak bardzo mi zależało... Sądził, że fakt, iż mam wyższe wykształcenie, i ten pierścionek zaręczynowy, i przebranie spełnią swoją rolę. I stąd jego oferta.

- Ach, tak. Oferta - powiedział cynicznie. - Ten twój własny biznes.

- Tak - potwierdziła. - Spotkałam twojego ojca na konkursie dla młodych przedsiębiorców, zobaczył, że bardzo mi zależy na własnym sklepie i złożył swoją ofertę. Miałam zostać twoją asyistentką i przez cały rok nie spoufalać się z tobą, utrzymywać stosunki czysto zawodowe, żadnego osobistego zaangażowania. W zamian on obiecał sfinansować Misie z Dziecięcych Marzeń.

- Tak bardzo ci zależy - spytał. - Dlaczego? Zapadła kłopotliwa cisza.

- Z powodu mojej mamy - powiedziała w końcu.

- Twojej mamy? - Spojrzał na nią uważniej. Grace pochyliła głowę.

- Chciałyśmy razem założyć ten sklepik. Robiłyśmy wspólne plany, marzyłyśmy o tym. Mama szyła najpiękniejsze w świecie pluszowe zwierzaki. Zawsze mówiła o nich, że są z dziecięcych marzeń. Dlatego ten sklepik miał się tak nazywać.

- I co się stało, *cara*? - zapytał łagodnie.

- Umarła parę dni przed konkursem. - Głos Grace się załamał, ukryła twarz w dłoniach. - I wymyśliłam... - dodała po chwili. - Chciałam sama założyć ten sklepik, żeby uczcić jej pamięć. Niedobrze, że cię oszukiwałam. Wiem o tym. Ale w tym czasie mogłam myśleć o... - opuściła głowę, próbując zapanować nad nerwami.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Przecież gdy już tyle wyszło na jaw... Czy sądziłaś, że bym tego nie zrozumiał?

Nerwowo zgmiotła chusteczkę. Sięgnęła po następną.

- Tak ładnie zawsze próbowałaś tłumaczyć moje oszustwa. Bałam się, że gdy się dowiesz, jak niskie kierowały mną motywy, to... znienawidzisz mnie - powiedziała przez łzy.

- Nie płacz, *cara* - powiedział ciepło. - Nie płacz. Oczywiście, że cię nie znienawidziłem.

Podszedł bliżej i objął ją ramieniem. Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy i zmusił, by na niego spojrzała.

- Ojciec w jednym miał słuszość. Gdyby nie ten pierścionek, nie trzymałbym się od ciebie z daleka.

Pocałował ją z taką namiętnością, że nie mogła się mylić. Poczuła, że ogarnia ją płomienne pożądanie. Kochała go, pragnęła gorąco. Jeżeli wszystko, co mógł jej dać, to było tylko te kilka minut, musiała nasycić się do woli.

- Luc, proszę - szepnęła. Popatrzył na nią badawczo.

- Jesteś pewna? - zapytał. Skinęła głową.

Gwałtownie ściągnął marynarkę i rzucił na podłogę. Potem przyszła kolej na krawat. Rozluźnił węzeł i po chwili kawałek czerwonego jedwabiu pofrunął w powietrze i wylądował na żyrandolu. Teraz koszula. Grace pomogła mu w odpinaniu guzików, pragnąc jak najszybciej dotknąć jego klatki piersiowej porośniętej szorstkimi, kędzierzawymi włosami.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jakim cudem zjawiłeś się w domu. Bałam się, że będziesz czekał na ojca w biurze - szepnęła, obdarzając go serią krótkich, gwałtownych pocałunków.

Zaraz potem koszula pofrunęła przez pokój, lądując na podłodze obok marynarki.

- Tak bardzo myślałem o tobie, że zapomniałem wziąć tego cholernego sprawozdania.

Odpiął pasek od spodni, wysunął go ze szlufek. I już po chwili zmroził ją dźwięk odpinanego suwaka. Spojrzała na Luca. Oddychał szybko, gwałtownie, jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, jakby właśnie pokonywał trasę maratonu. Zauważywszy, że Grace zawahała się, nie nalegał, po prostu czekał, dając jej możliwość odwrotu.

Nigdy nie myślała, że znajdzie się w takiej sytuacji, że będzie aż tak bardzo pragnęła mężczyzny, by wyprzeć się wszelkich zasad, by stały się nieistotne prawdy wpajane w nią przez rodziców.

Pragnęła go tak gorąco, że prysły wszystkie wątpliwości. Głaskała jego ramiona, brzuch porośnięty szorstkimi, kędzierzawymi włosami... Potem jej ręka zawędrowała niżej i dopiero w tym momencie Grace się zawahała.

- Teraz twoja kolej - powiedział ciepło Luc. Rozpiął guzik jej sweterka i zaczął ściągać go przez głowę.

Wstrzymała oddech, podniecenie rosło. Spojrzała na Luca. Złote oczy były jak dwa gorejące węgle. Pierzchły wszelkie wątpliwości.

Ręce Luca powędrowały do ramiączek kremowego, koronkowego stanika, odpiął sprzączkę. Stanik ześlizgnął się z jej ramion. Podniósł go i rzucił daleko przed siebie. Wkrótce kremowa, koronkowa część damskiej bielizny lądowała na wielkim, eleganckim żyrandolu, tuż obok czerwonego krawata.

Przez dłuższy czas Grace i Luc stali naprzeciw siebie bez ruchu, zafascynowani własną nagością. Potem Luc delikatnie dotknął jej piersi. Grace lekko zgięła kolana. Chwycił ją gwałtownie w ramiona i całował - namiętne,

gorące, nienasycone pocałunki. Zdjął spodnie, odrzucił je daleko, bijąc wszelkie rekordy rzutu spodniami.

- Może powinniśmy iść do łazienki - szepnęła Grace, wciskając się mocniej w jego ramiona.

- Do łazienki? Słusznie - gwałtownie przewrócił ją na tapczan i położył się na nią. - Łazienka jest za daleko - mruknął.

Zbliżył usta do jej warg, a jego ręce rozpoczęły intymną, namiętą wędrówkę. Każda pieszczota zbliżała ich coraz bardziej do czegoś słodkiego, namiętnego, niemal bolesnego.

- Luc - szepnęła, zamykając oczy. - To więcej niż można wytrzymać.

- Grace?

Miała wrażenie, że jego głos dochodzi z bardzo daleka.

- Co chcesz? - spytała.

- Wiesz, co chcę! Ciebie! - szepnął namiętnie.

- Grace?

- Co chcesz? Dlaczego ciągle powtarzasz moje imię?

- Nic nie mówiłem.

- Grace?

Teraz oboje zamarli z przerażenia.

- Złaż ze mnie! Szybko! - szepnęła Grace.

- Grace? - Znowu oboje usłyszeli jakiś męski głos. Ktoś ją nawoływał.

Ten głos był już tuż przed drzwiami. Przyłgnęła do niego, pragnąc ukryć się w jego szerokich ramionach.

Jakiś mężczyzna i jakaś kobieta otwierali właśnie drzwi pokoju.

- Do cholery! - wrzasnął Luc. - Co państwo robią w moim mieszkaniu?

- Mój Boże! - mężczyzna spojrzał na nich przerażony. - Ja jestem... pastorem... - próbował się przedstawić, ale słowa uwięzły mu w gardle.

- Moje nazwisko Caruthers, Social Services - przerwała kobieta, energicznie odpychając pastora. - Jestem państwa kuratorką.

- Nieprawda - zaprzeczył Luc. - Na kuratorkę wyznaczono nam panią Carstairs.

- Zwolniliśmy panią Carstairs z tego stanowiska. Bardzo kontrowersyjny raport zmusił nas do pewnych koniecznych posunięć. Szafa, kosz na brudną bieliznę, próba uwiedzenia... Sądzę, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Próba uwiedzenia? - zdziwił się pastor.

- Otóż to - przytaknęła pani Caruthers. - Ta biedna pani Carstairs straszliwie wszystko pogmatwała. - Kuratorka wskazała palcem na Luca. - To pana wina.

Luc spojrział na Grace, a potem zwrócił się do intruzów:

- Teraz proszę się odwrócić - rozkazał. - I nie podglądać!

Z pewnym wahaniem wypełnili rozkaz.

Luc pośpiesznie przystąpił do zbierania z puchatego dywanu rozrzuconych ubrań. Podał Grace kilka elementów garderoby. Pośpiesznie wciągnął spodnie, koszulę, marynarkę...

- Proszę mi powiedzieć, jak państwo się tutaj dostali? - zapytał, z grubsza przyodziawszy się.

- Drzwi były otwarte - wyjaśnił pastor.

Jednocześnie zerknął na żyrandol ustrojony czerwonym krawatem i kremowym, koronkowym stanikiem, i szybko odwrócił głowę.

- Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie, o jakim romansie mówiła ta kobieta? I co to za dziecko? - zapytał pastor, ciągle jeszcze odwrócony do nich tyłem.

Grace chwyciła Luca za rękę.

- Nie mów - szepnęła. - To nie pomoże.

- Mój romans - oświadczył Luc, zdejmując z żyrandola koronkowy stanik i podając go Grace. - Mój związek z Grace.

- Jesteście po ślubie? - zapytał pastor, rozglądając się wokół ze zgrozą. - O dobry Boże! - westchnął.

- Tak, jesteśmy małżeństwem - odparł Luc.

- Nie, nie - zaprzeczyła Grace. - Luc, ty nic nie rozumiesz. Daj mi wyjaśnić.

Pani Caruthers pośpiesznie coś notowała, z przejęcia gryząc długopis.

Tonia, którą akurat nikt się nie zajmował, zaczęła płakać.

Pastor nie mógł oczu oderwać od Toni.

- Ty masz dziecko? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie! - krzyknęła Grace.

- Możliwe - krzyknął Luc głośniejszym głosem. - To zależy od tego, kim pan jest - spojrzał w stronę Grace. - Już pogubiłem się w tym wszystkim - stwierdził. - Którą historię opowiedzieć pastorowi?

- To nie jest żaden cholerny pastor! - krzyknęła Grace.

- Grace! - upomniał ją oburzony pastor. Przymknęła oczy.

- Ja.. Tak mi przykro, Luc. Czy ja ci nigdy nie wspomniałam, że mój ojciec jest pastorem?

- Nie. Ale pozwól mi zgadnąć. To jest twój ojciec.

- Bingo!

- Ostrzegam państwa, że jeśli nie jesteście małżeństwem, poniesiecie poważne konsekwencje za wprowadzanie w błąd Social Services - wtrąciła pani Caruthers.

- Czy możemy już się odwrócić? - zapytał pastor.

- Tak. Czemu nie? - zgodził się Luc. Spojrzał na Grace.

- Włożyłaś sweter na lewą stronę.

- Taka teraz moda - uśmiechnęła się. - To się nazywa przyłapano na gorącym uczynku.

- Oboje państwo - poważnym tonem poinformowała ich pani Caruthers - możecie się spodziewać poważnych kłopotów.

Luc podszedł do niej, zmuszając się do czarującego uśmiechu.

- Teraz, proszę pani... - zaczął.

Pracownica Social Services odskoczyła jak oparzona.

- Precz! Wynocha! - krzyknęła. - Precz ode mnie, ty diable wcielony.

Spojrzała na Grace.

- To właśnie przytrafiło się pani Carstairs, nieprawdaż? Widzieliśmy, że coś jest nie tak, gdy zaczęła nosić rozpuszczone włosy i codziennie robić staranny makijaż.

Grace podświadomie dotknęła ręką swoich jasnych loków.

- Tak. On potrafi rozkochać w sobie każdą kobietę - przyznała.

- Nie! - krzyknęła pani Caruthers. - Nie mnie. Niech pan nawet nie próbuje tych swoich diabelskich sztuczek.

- Myślę, że już nie będę próbował tych moich sztuczek - westchnął Luc. - Obawiam się, że dni mojego uroku mają się ku końcowi.

Pracownica Social Services próbowała ukryć swoje rozczarowanie.

- Zobaczymy, co powie na to wszystko pani Cuthbert - powiedziała ostro i nieprzyjemnie. - Mam wrażenie, że obecność kierowniczkki naszego Wydziału jest tutaj niezbędna. I mogą być państwo pewni, że pani Cuthbert nie będzie pobłażliwa.

Pracownica Social Services obróciła się na pięcie i szybko wyszła z pokoju. Po chwili usłyszeli głośnie trzaśnięcie drzwi.

Grace spojrzała na ojca.

- Sądzę, że jesteś ciekaw, co się tutaj dzieje - powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

346. dzień - jeszcze nie wszystko stracone...

- To, co tu się dzieje, wygląda nieciekawie - powiedział ironicznie pastor Barnes.

- Tak... Dobrze... - Grace czuła, że rumieniec powraca na jej policzki i gorączkowo zastanawiała się, co by tu powiedzieć, świadczącego o jej niewinności. Coś, co pomoże w rozmowie i mającej nieuchronnie nastąpić konfrontacji z rzeczywistością. - Sprawileś nam miłą niespodziankę - wydukała w końcu.

- Próbowałem dzwonić, ale nie odbierałaś telefonów.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałeś - szepnęła.

- Tak. Teraz wszystko rozumiem - rozejrzał się dookoła.

Było oczywiste, że się mylił.

- Czy byłaś ostatnio w swoim mieszkaniu? - zapytał.

- Nie - odparła, konstatuując, że szczegółowe wyjaśnienie sytuacji nic tu nie może pomóc. - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Nie zastałem cię w domu, więc pojechałem do pracy i strażnik podał mi ten adres, gdy wylegitymowałem się, że jestem twoim ojcem.

- Pan Edward - westchnęła Grace.

- Chyba właśnie tak miał na imię. Grace! - przypomniało się nagle pastorowi - czy mogłabyś nas przedstawić?

- Luc Salvatore... pastor Barnes... Panowie podali sobie dłonie.

- Miło mi pana poznać - powiedział Luc.

- Przyszłość pokaże, czy mnie również miło poznać pana - odparł pastor.

- Przepraszamy za całe zamieszanie - powiedział Luc, patrząc mu szczerze w oczy. - Wszystko przez to, że zapomnieliśmy zamknąć drzwi.

Pastor nie skomentował. Zamiast tego zapytał:

- To twój szef, prawda?

- Tak. Od roku.

- I jednocześnie Grace jest pana żoną? - Coś tu nie pasowało.

- Nie, jeszcze nie - Luc potrząsnął głową.

- Na pewno? Przecież parę minut temu twierdziliście coś wręcz przeciwnego.

- Nie jesteśmy małżeństwem, tato - Grace cichym głosem powtórzyła to, co powiedział Luc, omijając niefortunne słowo „jeszcze”. Powinien uważać, co mówi do jej ojca.

- Biorąc pod uwagę to, co tu się działo przed chwilą, nie wiem, czy powinienem być zadowolony - zauważył pastor. - Powiedzcie mi wreszcie, czyje to dziecko.

- Tonia jest moją bratanicą - stwierdził Luc. - Grace pomaga mi opiekować się dzieckiem. I, do pana wiadomości, nasze stosunki, aż do dzisiaj, pozostawały czysto służbowe.

- Dzięki Bogu! - westchnął pastor.

Zanim Grace zdążyła cokolwiek powiedzieć, Luc dodał:

- I chciałbym, żeby pan wiedział, że w zeszłym tygodniu wystąpiliśmy o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego.

Grace przymknęła oczy i aż jęknęła.

- Jesteście zaręczeni? - upewnił się pastor. Spojrzała na Luca, który po prostu śmiał się.

- Tak - mruknęła niepewnie.

Ojciec zmarszczył brwi. Znała to spojrzenie. Zarówno ona, jak i liczni parafianie jej ojca. Zawsze kojarzyło się z początkiem szczerzej spowiedzi.

- Jak zdołałem się zorientować, istnieje wiele faktów, o których nie wiem - powiedział pastor.

Przyjrzał się wnikliwie ich twarzom. Grace nie miała wątpliwości, iż mógł wyczytać na nich poczucie winy. W końcu znał córkę jak własną kieszeń. Luc starał się wyglądać bardziej zagadkowo.

- Miałbym taką propozycję, jeśli wolno - obwieścił pastor.

- Martwi się pan o córkę - podsunął Luc.

- Tak. Zakładam, że pan ją kocha... - Złożył ręce jak do modlitwy, co oznaczało u niego wysoki stopień zdenerwowania.

- Tak, kocham - przyznał Luc z lekkim wahaniem.

Usatysfakcjonowany pastor odetchnął z ulgą.

Zwrócił się ku Grace, patrząc na nią już znacznie łagodniej.

- Wiem, że jesteś gotowa i chcesz poślubić tego mężczyznę. Nie pozwoliłabyś, by sprawy zaszły tak daleko, gdybyś go nie kochała.

Cóż mogła na to odpowiedzieć?

- Tak, tato - szepnęła.

- Zatem jest postanowione. Proponuję, byście pobrali się. Choćby teraz. Po tym, co widziałem, nie sądzę, by to była pochozna decyzja.

Luc nawet nie próbował ukryć satysfakcji. I Grace wiedziała, dlaczego ma taką zadowoloną minę. Szybki ślub dawał mu szansę dalszego opiekowania się Tonią.

- Czy mógłby pan teraz udzielić nam ślubu? - zapytał pastora.

- Jeśli macie zgodę na zawarcie związku małżeńskiego i wyniki badania krwi, jestem gotów, choćby teraz. Potrzebny będzie świadek... Grace - zwrócił się do córki - dobrze by było, żebyś się przebrała.

- Włóż tę białą sukienkę z bolerką - zaproponował Luc. - Miałem dobry pomysł, żeby ją zabrać z twojego mieszkania.

- Luc, chciałabym zamienić z tobą parę słów na osobności - wymruczała przez zaciśnięte zęby. - Tato, czy mógłbyś przez chwilę zająć się Tonią? To tylko chwilka - spojrzała pytająco na ojca.

Skinał głowę.

Grace chwyciła Luca za rękę i pociągnęła go do pokoju gościnnego. Zatrzasnęła drzwi.

- Jak śmiałeś oszukiwać mojego ojca? - wybuchła. - I... jak śmiałeś zgodzić się na ten ślub?

- A co, do licha, myślałaś, że powiem? - zdenerwował się Luc. - Że nie chcę poślubić jego niewinnej dziewczynki, tylko pragnę szalonej, namiętnej miłości?

- Przynajmniej mówiłbyś szczerze.

- Nie sądzę. Zmieniłem zdanie. Teraz chcę cię poślubić.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Naprawdę jesteś zdolny do wszystkiego. Czy tak bardzo ci zależy na opiekowaniu się dzieckiem?

Nie zaprzeczył. Ale i tak by go nie słuchała.

- *Cara...* - Podszedł, oparł ręce na jej ramionach. - Wiem, że to trochę nie fair.

- Bezsensowne, podłe i nieetyczne.

- Możliwe. Dlaczego jednak sądzisz, że aż tak złe?

- Choć raz bądź uczciwy, Luc. Dlaczego to robisz? Czy naprawdę chcesz mnie poślubić? Czy to tylko zdobywanie kolejnego atutu, żeby utrzymać Tonię?

- Czy mi uwierzysz, jeśli powiem, że cię kocham? Potrząsnęła głową. Łzy pojawiły się w jej oczach.

- Nie - szepnęła. - Widziałam twoje wysiłki, żeby opiekować się Tonią, żeby nie oddać jej policji. Próbowalesz niemal wszystkiego, oszukałeś tak wiele osób, wymyślałeś różne nieprawdopodobne historie. To po prostu jeszcze jedno kłamstwo. Każda twoja zachcianka musi być spełniona. Po trupach do celu.

Mocno zacisnął dłonie. Jakiś mięsień drgnął w jego twarzy.

- Powinnaś spróbować zaufać mi.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Grace przymknęła oczy. Całym sercem pragnęła mu zaufać. Cieszyć się nadzieją wspólnej przyszłości. Ale przecież

właśnie ostatni rok, prawie cały, spędziła na kurczowym czepianiu się marzenia, które nigdy się nie ziści. Nie miała siły, by znowu ryzykować gorycz zawiedzionej nadziei. Tym razem chodziło zresztą nie tylko o to. Teraz wyszłaby z tego ze złamanym sercem.

Łzy potoczyły się po jej policzku.

- Grace, nie płacz, kochana. - Chciał otrzeć te łzy, ale unikała jego dotyku.

- Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze.

- Już kiedyś tak mówiłeś i zobacz, do czego nas to doprowadziło. -

Uniosła na niego oczy pełne łez. - Zgodziłam się na przelotny związek z tobą.

Nie musimy brać ślubu.

- Musimy - stwierdził zdecydowanie. - Choćbym miał siłą zawlec cię do ołtarza.

- Z powodu Toni. - Niestety, nie miała żadnych wątpliwości.

- Możesz sobie myśleć, że z powodu Toni - mruknął zrezygnowany. - Ale wyjdź za mnie, Grace.

Musiała przyznać, że wybór należał do niej. Może powiedzieć nie i problem przestanie istnieć. Może powiedzieć ojcu prawdę o jej związku z Lukiem. I nigdy więcej nie zobaczy Luca, jeśli nie będzie tego chciała. Już nigdy on nie podejdzie do niej, nie będzie tych cudownych, namiętnych pocałunków, wspólnych żartów, kłótni. Nigdy nie będzie w jego ramionach i już nigdy nikogo nie pokocha tak bardzo.

I policzka mogłaby zabrać Tonię.

- Wyjdź za mnie, Grace - nalegał. - Obiecuję, że nie będziesz tego żałować.

- Już tego żałuję.

Pochyliła głowę, wiedząc, że nie mogłaby porzucić Toni, ani też nie byłoby łatwo wyjawic ojcu prawdy.

- Dobrze, wyjdę za ciebie. Ale to będzie tylko formalność. Nie będę z tobą mieszkała ani tym bardziej spała z tobą w jednym łóżku. Po paru miesiącach anulujemy ten związek.

- Nie mówisz poważnie.

- Całkowicie poważnie. Źle postąpiłam, że zgodziłam się na plan twojego ojca. Przyznaję. Ale wydawało mi się, że nikt przez to nie zostanie skrzywdzony. Wyszło inaczej, ale już nigdy w życiu nie powtórzę tego błędu. To będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię dla Toni. A także dlatego, że jestem zbyt tchórzliwa, by wyznać prawdę mojemu ojcu. To się skończy, gdy wrócą Pietro i Carina.

- Nie chcę się kłócić, ale zrozum... - próbował otoczyć ją ramieniem.

- Nie! - wyrwała się z uścisku. - Chodźmy już do ojca. Nie powinien czekać tak długo.

- Poproszę Alessandra, żeby był naszym świadkiem.

- Zamierzasz zaprosić rodzinę?

- Tylko Alessandra. Ojciec myśli, że już jesteśmy małżeństwem, a nie sądzę, żebyś chciała ściągać tutaj resztę tej hałasty.

- Nie wiem.

- Ubierz się, *cara mia*. Ja na chwileczkę wyjdę, mam jeszcze coś do załatwienia...

Podszedł i dał jej buziaka. Delikatny całus, jak obietnica, że teraz już wszystko będzie dobrze. Nie zaufała temu pocałunkowi.

Następna godzina przeleciała szybko jak błyskawica. Grace upewniła się, że ojciec nie ma nic przeciwko dalszemu opiekowaniu się dzieckiem, a następnie poszła przygotować się do ceremonii. Upięła włosy w wyrafinowaną, wysoką fryzurę.

Użyła najlepszych kosmetyków i perfum, które trzymała z myślą o jakiejś szczególnej okazji. Później włożyła białą suknię z bolerkiem. Zastanowiła się, czy Luc już wtedy planował tego rodzaju ceremonię, gdy przeglądał jej szafę.

Przejrzała się w lustrze. Tak, suknia okazała się wspaniała. Grace okręciła się kilka razy, patrząc na siebie z zadowoleniem.

Tylko przy szyi suknia wyglądała dziwnie pusto. Stanowczo brakowało tu jakiejś biżuterii. Grace zastanowiła się, czy włożyć piękny naszyjnik z pereł i do tego kolczyki - komplet, który dostała kiedyś od rodziców na urodziny. Lubiła swoją biżuterię, ale perły nie bardzo pasowały do tej sukienki.

Lekko skrzypnęły drzwi.

- Grace? - zawołał Luc, wchodząc do pokoju. - Grace? - wyszeptał jej imię aksamitnym głosem, w którym słychać było wzruszenie.

Powoli odwróciła się w jego stronę, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Jesteś piękna, *mia amorata* - szepnął Luc.

Wyglądał bardzo elegancko. Czarny garnitur i biała koszula - w tym samym odcieniu bieli co jej suknia. Złote spinki w mankietach koszuli, złota wsuwka podtrzymywała czerwony, jedwabny krawat - ten sam, który jeszcze niedawno wisiał na żyrandolu.

- Czy Alessandro już przyszedł? - zapytała.

- Tak. Pora zaczynać ceremonię.

Zbliżył się do niej, podając jej ozdobne, podłużne pudełeczko.

- Zanim jednak zaczniemy, chciałbym uzupełnić twój strój tym drobiazgiem. Należał kiedyś do mojej matki, dostała go w prezencie właśnie w dniu ślubu od swojego ojca.

- Luc...

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie możesz odmówić. Nie wolno ci tego zrobić. Niepewnie otworzyła pudełeczko.

Wykwintny naszyjnik z oprawionych w złoto opali leżał na czarnym welwecie. Zielone i niebieskie iskierki łagodnie łączyły się z kolorami tęczy. Każdy kamień mienił się zielonawym blaskiem.

- Piękny opal - szepnęła.

- Tak. To kamień szczęścia mojej matki. Pozwól, pomogę ci włożyć.

Wyjął naszyjnik z pudełka.

- Dziękuję - powiedziała stłumionym głosem. - Nie musiałeś mi tego dawać.

- Mam coś jeszcze. - Z figlarnym uśmiechem sięgnął do kieszeni i wyciągnął... niebieską, koronkową podwiązkę. - Naszyjnik to coś starego. A to jest nowe i błękitne. Czy zechcesz włożyć tę podwiązkę?

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Oczywiście, dziękuję.

- A to... będziesz mogła w sklepie wymienić na coś innego, jeśli nie będzie pasować.

Znowu sięgnął do kieszeni. W jego rękę błysnęła para kolczyków z zielonawym opalem - idealnie pasujących do naszyjnika.

Cofnęła się lekko.

- Nie, Luc. To za dużo. Nieznacznie wzruszył ramionami.

- W ciągu trzydziestu dni możesz oddać do sklepu.

- Dlaczego to robisz? - spytała z niepokojem w głosie. - To przecież nie jest prawdziwy ślub.

Od razu zrozumiała, że nie powinna była tego mówić. Luc przybrał zimny, obcy wyraz twarzy. Widziała, że jest mu przykro.

- Włóż te kolczyki - poprosił.

Mając już dość kłótni, Grace przyjęła prezenty. Wpięła kolczyki. Jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Wyglądała pięknie. To zupełnie nie pasowało do tego rodzaju ślubu.

- Jestem gotowa - powiedziała, odwracając się w jego stronę.

Ujął jej rękę.

- Chodźmy.

Mocno ścisnął jej dłoń. Czy bał się, że wyrwie się i ucieknie? Mimo wszystko jeszcze mogła to zrobić. Spojrzała na niego badawczo, próbując odczytać z twarzy najskrytsze myśli. Odwzajemnił spojrzenie. A co z miłością? Gdyby ją kochał, byłoby to jakoś widoczne. Zawiedziona, opuściła oczy i poszła razem z nim do salonu.

Ojciec czekał przy oknie w salonie. Kiedy zobaczył Grace, wyraz dumy i tkliwości pojawił się na jego obliczu. Podszedł do niej. Luc zwolnił ją z uścisku, cofnął się lekko.

- Wyglądasz pięknie - powiedział pastor. - Czy na pewno tego chcesz? - szepnął.

- Tak, tato - odparła cicho.

- W takim razie jestem szczęśliwy - uścisnął ją lekko.

Podszedł Alessandro z Tonia na rękę.

- Witamy w rodzinie - powiedział do Grace z ciepłym uśmiechem.

- Dziękuję.

Luc przyniósł ogromny bukiet herbacianych róż i wręczył go Grace bez słowa.

- Czy możemy zaczynać? - zapytał pastor, patrząc na córkę.

Skinęła głową. Musiała być bardzo ostrożna, by pastor nie spostrzegł jej rozterek.

- Zatem zaczynamy...

Dzwonek do drzwi przerwał jego słowa. Alessandro, mruknąwszy przepraszam, pobiegł otworzyć.

- Co wy tu robicie? - zapytał z przesadnym zdumieniem.

- Przecież powiedziałaś, że jeśli nie przyjeździemy, to do końca życia nie będziemy mogli sobie tego darować - powiedział Rocco.

- Tak - potwierdzili zgodnym chórem Stef i Marc.

- Co się dzieje?

Weszli do salonu i zamarli z wrażenia. Marc ochłonął pierwszy.

- To jest ślub! - zawołał.

- Nie zaprosili nas - oburzył się Stef.

Luc zerknął na Alessandra. Spojrzenie zwiastowało zemstę.

- Tak. To mój ślub. Stańcie obok Alessandra i bądźcie cicho.

- Daj mi Tonię - zwrócił się Marc do Alessandra.

- Nie, ja chcę ją trzymać - powiedział Rocco.

- Nieprawda, bo ja.

- Zamknijcie się wszyscy czterej - rozkazał Luc. Głęboko wciągnął powietrze do płuc, a następnie powiedział: - Proszę kontynuować, pastorze.

Przepraszam za to zamieszanie.

- Prosimy, tato - wtrąciła Grace.

- W porządku. Na czym to ja skończyłem? Już wiem. Moi drodzy, zebraliśmy się, żeby połączyć węzłem małżeńskim...

Pastor przerwał i spojrzał niepewnie na czterech braci Salvatore.

Następnie zwrócił się do Luca.

- Dlaczego pan nie zaprosił swoich braci?

- Bo oni nie potrafią się zachować - mruknął przez zaciśnięte zęby. -

Proszę kontynuować.

Nagle Tonia zaczęła głośno płakać.

- Czy mogę teraz zmienić jej pieluszkę? - zapytał Alessandro.

- Nie! - krzyknął Luc.

- Luc, nie przesadzaj - powiedziała Grace.

- Alessandro zmieni malutkiej pieluszkę, a Marc przygotuje butelkę z mieszanką. Może Tonia jest głodna.

Luc odwrócił się do niej.

- Dobrze wiesz, że to nie jest konieczne. Marc, nie będziesz teraz przygotowywał mieszanki.

- Więc ja się tym zajmę - stwierdziła Grace. Pięć minut później znowu zgromadzili się wszyscy w salonie.

Rocco trzymał malutką w ramionach i leciutko kołysał. Tonia gruchała wesoło. Marc trzymał butelkę, gotów podać ją dziecku przy pierwszym piśnięciu. Luc przybrał nieubłagany wyraz twarzy.

- Jeszcze jakieś komentarze? - zapytał groźnie. Nikt się nie odezwał. Luc skinął głową z satysfakcją.

- Możemy zaczynać.

- Moi drodzy, zebraliśmy się tutaj, by połączyć węzłem małżeńskim... - zaczął pastor.

- Może od razu przejdziemy do podstawowych punktów ceremonii - zaproponował Luc.

Pastor spojrzał pytająco na Grace.

- Tak, tato - szepnęła.

- Zgoda. To dość niezwykła prośba, ale skoro oboje wyrażacie zgodę...
Zatem kontynuujemy. Czy ty, Luciano Salvatore, przyrzekasz tej kobiecie miłość, szacunek i wierność małżeńską?

- Tak.

- Czy ty, Grace Barnes, przyrzekasz miłość, szacunek i posłuszeństwo...

- Tato!

- Nie przerywaj swojemu ojcu, Grace. Spojrzała na Luca.

- Nie mogę przyrzekać posłuszeństwa. To archaiczne. Mogę przyrzec wierność.

Znowu ktoś zadzwonił do drzwi. Grace przymknęła oczy.

- Ja otworzę - zawołał Alessandro.

I już po chwili wkroczył do salonu pan Dominik.

- Co tu się dzieje! Co ja widzę! Dlaczego nie zawiadomiliście mnie o ślubie?

- Wiesz, dlaczego.

Pan Dominik ponuro skinął głową.

- Jeszcze ciągle mogę wykluczyć was z rodziny. Najpierw dziecko, a potem dopiero ślub! To przechodzi wszelkie pojęcie!

Pastor zatrzymał wzrok na Toni, fikającej nóżkami i słodko gruchającej, wtulonej w ramiona Rocca.

- Czy to twoje dziecko, Grace? - zapytał przerażony.

- Nie! - ukryła twarz w dłoniach. - Tato, czy nie możesz dokończyć ceremonii? Obiecuję, wszystko ci potem wyjaśnię.

- Sądzę, że znacznie lepiej będzie, jeśli wyjaśnisz to teraz.

Znowu ktoś energicznie zadzwonił do drzwi. Stef pobiegł otworzyć.

- Zaraz, zaraz... - zastanawiał się Luc. - Kto to może być? Może policja. Jeszcze policji nam tutaj brakowało.

- Już nie brakuje. Cynthia Cuthbert, Social Services. - Wysoka, bardzo przystojna brunetka pojawiła się w drzwiach obok Stefa.

Przyjrzała się wnikliwie wszystkiemu.

- Cześć, Luc - zawołała. - Dawnośmy się nie widzieli.

Jeśli Luc był zaskoczony, nie pokazał tego po sobie.

- Nie tęskniłem za tobą - rzekł sucho. - Cześć, Cynthia.

Marc trącił łokciem Stefa.

- Cynthia? Ta Cynthia? Ta, której Luc nie zdołał oczarować?

- Ta Cynthia - potwierdził Stef.

Pracownica Social Services zbliżyła się do młodej pary.

- Ty z pewnością jesteś Grace - powiedziała, wyciągając rękę. - Czyżbym w czymś przeszkodziła?

- Wiesz, w czym przeszkodziłaś. Nie zadawaj głupich pytań - burknął Luc.

- Jeżeli ten drobny epizod odgrywany jest na rzecz Toni, to obawiam się, że jest na to już za późno. Gra skończona.

Cynthia wzięła się pod boki i spojrzała na Luca strapiona.

- Muszę przyznać, że nie jestem z ciebie zadowolona. Twoje postępowanie zaburza pracę całego naszego Wydziału. Nagle panie z Social Services zachowują się jak trzpiotowate małolaty. Czerwienią się, chichoczą, piszą raporty, wołające o pomstę do nieba. Czy ja jestem jedyną kobietą na świecie, która nie uległa urokowi twoich gaci?

- Są jeszcze dwie kobiety, których nie zdołałem oczarować - Luc uśmiechnął się mimo zdenerwowania. - Oto jedna - wskazał na Grace. - A tej drugiej na szczęście nie znasz.

- Nie martw się, mój drogi - powiedziała z fałszywym współczuciem. - Sądzę, że starałeś się jak mogłeś.

Cynthia spojrzała na zegarek.

- Niestety, nie mam zbyt wiele czasu, czekają na mnie jeszcze sprawy biurowe. Prawdę powiedziawszy przyszłam zabrać Antonię.

Luc stanął pomiędzy nią a Tonią.

- To ci się nie uda - powiedział zdecydowanie.

Bracia Luca natychmiast otoczyli dziecko, jakby tworząc mury obronne wokół zamczyska.

- Grace i Luc już za minutę będą małżeństwem. Pracownica Social Services wzruszyła ramionami. - To już nie ma znaczenia. Okropny z ciebie kłamczuch, Luc. Zeznałeś naszemu Wydziałowi, że już od dawna jesteście małżeństwem. Pani Cartwright przestrzegała cię, jakie mogą być konsekwencje, jeśli przyłapiemy cię znowu na kłamstwie. A ty zignorowałeś jej ostrzeżenie.

- Nie traktuj mnie jak małe dziecko, Cynthia. Oboje wiemy, że Social Services może zrobić w tej sprawie wyjątek. I sądzą, że możesz to załatwić.

Oszłamiająco piękna twarz Cynthia przybrała wyraz szczerego rozbawienia.

- Wydaje ci się, że z każdym można się dogadać. Powiedz, dlaczego miałabym teraz robić dla ciebie wyjątek? Ponieważ byliśmy kiedyś... przyjaciółmi?

- To jeden powód - powiedział spokojnie Luc. - Drugim powodem może być to, że znasz moją rodzinę. Dobrze wiesz, że Tonia jest z nami całkowicie bezpieczna.

- Hm... przepraszam, czy mógłbym prosić o wyjaśnienie - przerwał pastor Barnes. - Myślę, że jako ojciec Grace mam prawo wiedzieć, czyje to dziecko i z jakiego powodu chce je pani zabrać.

Pan Dominik spojrzał na pastora z całkowitym zrozumieniem.

- Ja też chciałbym wiedzieć, czyje to dziecko.

- To jest moja córka - dobiegł ich nagle z przedpokoju czyjś stanowczy głos. - I nikt nie ma prawa mi jej zabierać. O ile cokolwiek mam do powiedzenia w tej sprawie.

Odwrócili się gwałtownie w stronę drzwi. Do salonu wchodziło właśnie dwoje młodych ludzi

- Pietro! - krzyknęła Grace. - Pietro! Wreszcie wróciłeś!

- Wróciłem. Przedstawiam wam moją żonę. Carina Donati... Salvatore - podniósł tryumfalnie rękę Cariny.

Zobaczyli piękną, złotą obrączkę, inkrustowaną diamentami, zdobiącą serdeczny palec.

Ujrzawszy Tonię, Carina wyrwała z mężowskiej dłoni swoją rękę. Błyskawicznie przebiegła przez salon, odbierając dziecko śpiące do tej pory smacznie w ramionach Rocca.

- Antonia jest córką Pietra? - zapytał zaskoczony pan Dominik. - Dlaczego wy ciągle przede mną coś ukrywacie?

- Toni! - krzyknęła radośnie Carina.

Zaczęła wśród łkań mówić coś po włosku. Włoskie słowa padały tak szybko jak łzy. Ścisnęła dziecko, pokrywając jego policzki gwałtownymi pocałunkami.

Pietro podszedł do nich. Popatrzył na córkę z prawdziwym zachwytem.

- Ona jest piękna - szepnął, dotykając lekko palcem różowych, okrągłych policzków. Rozejrzał się po wszystkich. - A ja mam córkę - obwieścił z dumą.

Posypały się pytania. Wyjaśnienia zajęły im prawie godzinę, a i tak nie wszystko zostało powiedziane. Ku cichemu rozbawieniu Grace, Pietro okazał się tym jedynym z rodziny Salvatore, który potrafił oczarować niezdobytą Cynthię.

- W najbliższym czasie umówimy się jeszcze na spisanie protokołu - powiedziała Cynthia, wychodząc.

Grace stała milcząc przy swoim ojcu, wdzięczna za to, że objął ją serdecznie ramieniem. Obserwowała szczęśliwe połączenie się Toni z rodzicami, starając się zachować kamienną twarz, nie pokazać po sobie wewnętrznego wzburzenia. Luc teraz nie musi się ze mną żenić, pomyślała. Uświadomiwszy sobie to, z pewnością nie odczuła ulgi. Raczej silny ból, niemożliwy do wytrzymania. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że może i dobrze, że nie doszło do ślubu. Szybki rozwód mógłby być jeszcze bardziej bolesny.

Nadszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy. Małżeństwo przestało być koniecznością. Luc jej nie kochał. W każdym razie nie na tyle, by się z nią żenić. Grace pomyślała, że jeśli teraz wyjdzie, zdoła ocalić resztkę szacunku dla samej siebie. Poczwała, że pozostanie w salonie, w mieszkaniu Luca, jeszcze parę minut dłużej mogłoby być dla niej zabójcze.

- Sądzę, że nie ma już żadnego powodu... - powiedziała cicho, potem głos jej się załamał.

Ojciec przytulił ją mocniej.

- Przykro mi, Grace.

Udało jej się zapanować nad łzami. Oczywiście, ojciec rozumiał dużo więcej, niż jej się przedtem wydawało. Czy jej miłość do Luca aż tak bardzo rzucała się w oczy?

- Chodźmy już, tato.

- Nigdzie nie pójdziesz! - Luc stanął przed nią, zagrządzając drzwi.

- Luc, proszę cię - powiedziała błagalnie. - Tonia jest bezpieczna i nie ma powodu, żebyś musiał się poświęcać. Żadnego powodu.

- To prawda. Żadnego. Oprócz tego jednego... - ujął jej dłoń. - Pragnę cię poślubić, *cara mia*. I to nie będzie małżeństwo z przymusu. Chcę, byś została moją żoną. Na zawsze. Przysięgam ci wszystko: wierność, miłość i uczciwość małżeńską...

- A nie posłuszeństwo? - zapytała drżącym głosem. Skinął głową z satysfakcją.

- O, właśnie. Posłuszeństwo.

- Moi drodzy - przerwał pastor Barnes. - Mam taką propozycję. Sądzę, że do tych wszystkich przyrzeczeń powinniście coś jeszcze dodać. Wierność, miłość i uczciwość małżeńska, i... ani jednego kłamstwa więcej. Wydaje mi się to szczególnie ważne w waszym wypadku. Co o tym myślicie?

- Załatwione! - zgodził się Luc. - Grace? - spojrzał na nią pytająco.

Jeszcze nie ośmieliła się uwierzyć własnemu szczęściu.

- Dlaczego, Luc? - zapytała. - Jeszcze wczoraj twierdziłeś, że pragniesz jedynie przelotnego romansu. Jeszcze dzisiaj, dopóki kobieta z Social Services nie przyłapała nas... Kiedy zmieniłeś zdanie?

Uśmiechnął się. Złote oczy pociemniały ze wzruszenia.

- Coś jeszcze się wydarzyło.

- Co?

- Przyłapał nas twój ojciec. - Luc przysunął się do niej, szepcząc jej do ucha: - Uprawianie seksu z tobą wydawało się czymś podniecającym, najpiękniejszym. Ale kiedy twój ojciec pojawił się w drzwiach, zrozumiałem, że

wyrządzam ci krzywdę. Widziałem twoją twarz tak bardzo zawstydzoną. I zrozumiałem, że niszcę coś naprawdę pięknego. Coś, co mogłabyś zapamiętać jako najwspanialszą chwilę w życiu, mogę obrócić w rzecz plugawą i nikczemną. I pojąłem, że nie zależy mi na przelotnym romansiku z tobą. Koniec z tego rodzaju przygodami. Chcę być dla ciebie kimś więcej niż facetem do łóżka. Pragnę być twoim mężem. Na dobre i na złe.

Poczuła, że znowu łzy płyną jej po policzkach. Tym razem ze wzruszenia.

- Kocham cię, Luc.

- *Bellissima mia* - szepnął czule. - Czy ja ci jeszcze nie mówiłem, jak bardzo cię kocham? Odtąd na jawie i we śnie zawsze będzie przy mnie twoja piękna twarz, twój głos. Powietrze, którym będę oddychał, będzie przesycone aromatem twojego ciała. - Ujął jej ręce w swoje dłonie. - Czy wyjdiesz za mnie, kochana?

- Oczywiście, że tak - zaczęła się śmiać. - A spróbuj teraz mnie powstrzymać!

Jej załzawione oczy rozbłysły radością. Luc zwrócił się do pastora.

- Ale już tym razem, pastorze, prosimy, niech pan nie pominie ani jednego słowa. Chcemy, żeby to był naprawdę uroczysty ślub.

I tak się stało.